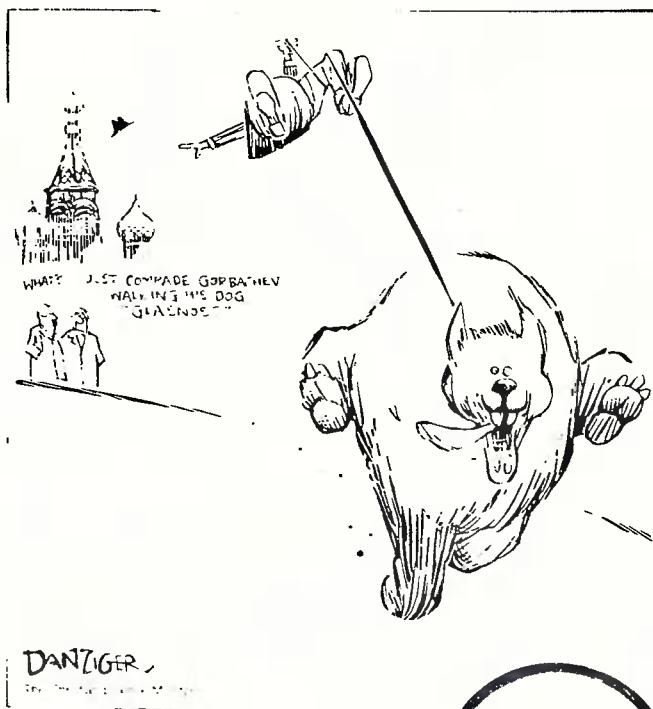


# ego

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY



Danziger for The Christian Science Monitor ©1988 TCS/SPS

2/1989

4

KARTA

Dziękujemy:

Rilkemu za 500

T.Lic. za książki i czasopisma

Przekazujemy podziękowania:

Wydawnictwu "Baza" dla Niny Karsov za kasety video

B.M. dla P.S.C. za 60 + 90

### O Ś W I A D C Z E N I E

W 6I numerze "Bazy" (marzec 1989 r.) ukazało się oświadczenie Porozumienia Partii i Organizacji Niepodległościowych dotyczące rozmów przy "okrągłym stole", wyborów do Sejmu i Senatu PRL. Wyrażono tam przekonanie o bezsensowności porozumienia z komunistami. Wśród sygnatariuszy znalazła się Unia Demokratów "Baza". Następne numery "Bazy" (62, 63, 64) świadczą o zasadniczej zmianie poglądów redakcji. Poparcie "zdobyczy osiągniętych przy okrągłym stole", wezwanie do udziału w wyborach oraz próby legalizacji pozwalają zaliczyć UD "Baza" do konstruktywnej opozycji.

Oświadczamy, że używanie takiego samego symbolu przez redakcję pisma i Wydawnictwo Baza nie świadczy o wspólnocie poglądów i planów politycznych.

Wydawnictwo Baza

Warszawa, 4.07.1989

### S P R O S T O W A N I E

Wbrew informacji zawartej w notatce o Unii Demokratów "Baza" ("Gazeta Wyborcza" nr 35, 26.06.1989) numery przeglądu zagranicznego "Agora" nie składają się na dorobek edytorski Unii Demokratów "Baza".

Redakcja "Agory"

Warszawa, 4.07.1989

## NOWE SZATY GORBACZOWA

Nowojorskie przemówienie Gorbaczowa było przyznaniem się do porażki, prośbą do kredytodawców o więcej pieniędzy i jednym wielkim wołaniem o pomoc. Głównym faktem z dziedziny polityki zagranicznej, do którego musi się dziś ustosunkować administracja Busha, jest upadek imperium sowieckiego.

W początkach grudnia ub.r., przewodniczący państwa sowieckiego stanął wobec Stanów Zjednoczonych goły jak święty turecki, a wszyscy dworzanie oraz damy dworu nie posiadali się z zachwytem nad wspaniałością jego domnlemanych szat i królewskiej biżuterii. Aby bajce stało się zadość, zabrakło jedynie niewinnego dziecięcia, które by zawołało: "Król jest nagi!" Niestety, podobny głos rozsądku nie zakłócił nowojorskich popisów Gorbaczowa.

Sowieckie imperium Gorbaczowa padło i tylko interwencja siły wyższej mogłaby je w tej chwili uratować. W roku 1987 ZSSR zarobił w twardej walucie ok. 30-35 miliardów dolarów - czyli mniej niż wynosi połowa rocznych dochodów ze sprzedaży dużej amerykańskiej wytwórni samochodów. Te same dane za rok 1988 będą jeszcze niższe, przy czym blisko jedna trzecia dochodów walutowych ZSSR za ten rok pochodzi z kredytów banków europejskich. Nic więc dziwnego, że firma ZSSR, Inc. zaczyna przebąkiwać o wyprzedaży deficytowych filii na obrzeżach imperium: kubańskich sił ekspedycyjnych w Angoli, oddziałów okupacyjnych Armii Czerwonej w Afganistanie i wietnamskich wojsk okupacyjnych w Kambodży. Nic też dziwnego, że Gorbaczow - jeśli wierzyć jego nowojorskim oświadczeniom - postanowił ograniczyć nakłady na wojsko przez zredukowanie stałej armii.

Nowojorskie wystąpienie Gorbaczowa było przyznaniem się do porażki, apelem do kredytodawców o więcej pieniędzy i czasu, oraz jednym wielkim wołaniem o pomoc. Głównym faktem z dziedziny polityki zagranicznej, do którego muszą się dziś ustosunkować George Bush i Jim Baker, jest upadek imperium sowieckiego.

Istnieje sporo dowodów na to, że proces dezintegracji jest już znacznie zaawansowany:

\* Porażka Armii Czerwonej w Afganistanie. Kreml głosił niegdyś tezę o niezłomności "doktryny Breżniewa" (w myśl której państwo, które raz przystąpiło do Bloku Sowieckiego, nie może nigdy z niego wystąpić), lecz dziś zmuszony został do posunięcia ugodowych. Demonstruje je w sposób wyjątkowo upokarzający - czego dowodem fakt, że zastępca ministra spraw zagranicznych ZSSR, Woroncow, udał się do Taif w Arabii Saudyjskiej, aby tam negocjować z mudżahidami. To tak, jakby Henry Kissinger omawiał Porozumienie Wietnamskie z Viet Kongiem w Hawanie.

\* Koniec komunizmu. Polska jest tego najdobitniejszym przykładem, gdyż dwa główne źródła legitymizacji politycznej w tym kraju to dzisiaj Papież i Solidarność. Podobnie jak w kryzysie roku 1981, PZPR nie ma żadnej efektywnej roli do odegrania. Z dnia na dzień słabną partie komunistyczne na Węgrzech i w Czechosłowacji, a antykomunistyczne demonstracje mnożą się we wszystkich państwach satelitarnych, nawet w NRD.

\* Załamanie się gospodarki komunistycznej. Sam Gorbaczow ujawnił fakt, że tempo wzrostu gospodarki sowieckiej osiągnęło raptem połowę zapowiedzi Kremla (i prognoz CIA) - są to dane za ostatnie pięć lat. Polska, Węgry i Bułgaria są dramatycznie zadłużone. Sam Związek Sowiecki jest tak biedny, że Kreml z wdzięcznością przyjmuje pomoc zagraniczną na rzecz ofiar trzęsienia ziemi w Armenii.

\* Rosnące niezadowolenie mniejszości narodowych i krajów bałtyckich. Zniewolone narody Armenii, Łotwy, Estonii i Litwy, domagają się większych swobód. Przed trzęsieniem ziemi w Armenii Kreml zmuszony był postać tam potężny kontyngent wojskowy celem powstrzymania groźnych wystąpień miejscowej ludności; podobne ruchy obserwuje się wśród rosnącej liczebnie mniejszości islamskiej. "Le Monde", komentując zdjęcia z demonstracji popierającej Chomeiniego w Azerbejdżanie stwierdził, iż wygląda ją one jak zbrojne na ulicach Teheranu.

\* Bankructwo odległych przyczółków imperium. Nikaragua, Kuba i Wietnam są w sytuacji katastrofy ekonomicznej. Reżim Ortegi w Nikaragui osiągnął - wedle jego własnych danych - 50% spadek dochodu narodowego po dekadzie utrzymywania się u władzy; możliwe, że jest to światowy rekord w dziedzinie tempa rujnowania gospodarki. Kuba, aby utrzymać się na powierzchni, pochłania 5 miliardów dolarów pomocy rocznie (pozostając przy tym w centrum prowadzonej na wielką skalę operacji przemytu narkotyków, z czego czerpie dodatkowe fundusze). Wietnam to jedna wielka ruina.

Wszystko to spowodowało łatwe do przewidzenia napięcia wewnętrzne w centrum imperium w Moskwie. Oznaki choroby są rozmaite: od antysemityzmu, i to w jego najwulgarniejszej postaci, po plotki o antygorbaczewowskich machinacjach w cimnych korytarzach Kremla (tuż przed nowojorskim wystąpieniem Gorbaczowa sprzyjające mu nieoficjalne źródła w Moskwie informowały zachodnich dyplomatów, że we wrześniu doszło do nieudanego zamachu stanu - podkreślając tym samym delikatność pozycji Gorbaczowa). Nie powinno to nikogo dziwić, skoro dotychczasowe osiągnięcia Gorbaczowa - pomijając mistrzowskie budowanie własnego obrazu w oczach Zachodu - sprowadzają się w zasadzie do zera. Jakkolwiek zastosowalibyśmy skalę teny, imperium sowieckie jest dziś

słabsze niż w chwili obejmowania nad nim władzy przez Gorbaczowa. Jego okrzyczany program reform nie przyniósł żadnych namacalnych rezultatów, z wyjątkiem może dziedziny publicznego głosu myśli (a i na tym ograniczonym polu postęp jest nierównomierny). Lęk przed masowymi ruchami powstańczymi jest tak wielki, że zatwierdzono nowe przepisy prawne, legalizujące niejednokrotnie najgorsze ekscesy ery stalinizmu. Dla przykładu: po raz pierwszy w historii Sowietów wolno specjalnym siłom bezpieczeństwa strzelać do kobiet i dzieci w sytuacjach uznanych za nadzwyczajne. To także część pierestrojki.

Gorbaczow uzależnił przyszłość własną, a atakże swojego imperium, od umiejętności przekonania Zachodu, że powłnien go ratować - a to przez udostępnienie Kremlowi zachodnich technologii, danych i pieniędzy. Pozostawiony sam sobie, komunizm zdaje się być nieuchronnie skazany na zagładę. Z pomocą Zachodu, może pociągnąć jeszcze jakiś czas. Dlatego Gorbaczow nie pomija żadnej okazji, aby w przemówieniach na temat stosunków Wschód-Zachód nie wspomnieć z naganą o restrykcjach nałożonych przez nas na sprzedaż wysoko rozwiniętych technologii Blokowi Sowieckiemu. Z tego samego powodu zaleca się bezwstydnie do zachodnich bankierów, filantropów i biznesmenów.

Wydaje się jednak mało prawdopodobne, aby zachodni bankierzy i biznesmeni mieli zbawić imperium sowieckie. Komunizm bowiem skonał bezpowrotnie, a wszelka rzetelna "przebudowa" systemu musiałaby sięgać znacznie głębiej niż w sferę kosmetycznych zabiegów mających na celu ograniczenie centralanego planowania i natchnionych apeli o większą wydajność przemysłu. Robotnicy ze Stoczni im. Lenina w Gdańsku dobitnie uświadomili komunistycznym przywódcom Polski, że gospodarce uzdrowienie imperium jest niemożliwe bez rewolucji politycznej. To samo wycytać można z publikacji, które umożliwiła "głasność", a na które Kreml reaguje w sposób ekstremalny: to jej wyciszając, to znów cytując jako przykłady nowej wolności. To samo mówią wreszcie niektórzy bliscy doradcy Gorbaczowa, spośród których co najmniej jeden - nieszczęsny Jelcyn - został usunięty ze stanowiska za głoszenie prawdy.

Prezydent Bush powinien pamiętać o tym, że ma do czynienia z przedstawicielem upadłego systemu, którego imperium jest prawdopodobnie na krawędzi upadku i który próbuje nas wmanewrować w ratowanie tegoż imperium na jego konto. W grze Wschód-Zachód to my trzymamy dzisiaj większość atutów i pozostaje tylko pytanie, jak je rozegrać. Planując dalsze kroki, powinniśmy przede wszystkim pamiętać, że dzisiejsza rozpaczliwa sytuacja Gorbaczowa jest po części zasługą naszej własnej polityki:

\* Fakt, że obstawaliśmy przy spójnym programie kontroli eksportu technologii wojskowych i technologii dwójakiego zastosowania, znacznie utrudnił Sowietom docieranie do tych technologii, których jeszcze sami nie wytwarzają. Mimo nasilenia szpiegostwa przemysłowego na Zachodzie przez KGB i GRU (to również jest częścią pierestrojki), ZSSR pozostaje coraz bardziej w tyle za Zachodem w podstawowych dziedzinach techniki. Dla przykładu: według ostatnich doniesień, na terenie ZSSR nie było ani jednego superkomputera. Jeżeli Gorbaczowowi nie uda się uzyskać dostępu do zachodnich technologii, jego kraj czeka głębokie zacofanie, ze wszystkimi jego konsekwencjami w dziedzinach cywilnych i wojskowych.

\* Nasz program przebudowy militarnej najwyraźniej wyczerpał zasoby sowieckiej ekonomii, a dwie wielkie kampanie dyplomatyczno-propagandowe, obliczone na zahamowanie naszych działań (program anty-SDI i zmasowana akcja przeciwko rozmieszczeniu pocisków cruise i pershing prowadzona w początkach lat 80-tych w Europie Zachodniej) spaliły na panewce. Nie mogąc współzawodniczyć, Gorbaczow uciekł się, z konieczności, do nawoływań o redukcję wydatków na potrzeby militarne.

Skoro wymienione posunięcia polityczne stały się główną przyczyną dzisiejszych ugodowych gestów Gorbaczowa, to głupota byłoby wyrzekać się ich właśnie w chwili gdy zaczynają wydawać owoce. Jeżeli mamy złagodzić restrykcje dotyczące technologii, to musimy mieć absolutną pewność, że nie zostanie to wykorzystane przeciwko nam, ani przeciwko naszemu sojusznikom. Jeżeli mamy inwestować pieniądze w sowiecki system ekonomiczny, to musimy mieć absolutną pewność, że otrzymamy w zamian realną wartość. Wynikają stąd następujące sugestie co do naszej nowej polityki wobec Sowietów:

Po pierwsze: utrzymać kontrolę eksportową, która uniemożliwia Kremlowi dostęp do zachodnich technologii o zastosowaniu militarnym.

Po drugie: jak to sformułował prezydent Bush w udzielonym mi w listopadzie wywiadzie dla "Le Figaro", nie ma mowy o żadnych "bezwartunkowych pożyczkach" dla ZSSR. Wszelkie kierowane do ZSSR kredyty muszą być ściśle powiązane z zachodnią działalnością gospodarczą i szacowane na płaszczyźnie interesów. W praktyce oznaczać to będzie stosunkowo niski poziom zachodnich inwestycji, gdyż trudno mówić o wielkich interesach w systemie gospodarczym zdewastowanym przez komunizm.

Po trzecie: musimy nalegać - tak jak to zawsze czyniliśmy wobec Trzeciego Świata - na przeprowadzenie rzeczywistej przebudowy systemu sowieckiego, zanim udostępniemy mu wielkie kredyty z Banku Światowego, czy z Międzynarodowego Funduszu Monetarnego. Nie chcemy chyba znów ponieść tak wielkich strat, jak te, które były skutkiem nieprzemysłanych pożyczek udzielanych Polsce, Argentynie, Brazylii, Meksykowi, Bułgarii i Węgrom. To zaś oznacza konieczność wprowadzenia wolnej gospodarki, a nie "wolnych stref" w gospodarce typu nakazowego.

Wreszcie czas odświeżyć starą zasadę "coś za coś": my pomożemy Gorbaczowowi, pod warunkiem, że on zagwarantuje nam większe bezpieczeństwo. Na początek powinniśmy się domagać całkowitego wycofania sowieckiej obecności militarnej z naszej półkuli. Sowietci wydają się skłonni przeprowadzić w tej sferze pewne ograniczenia, ale nas nie interesują półśrodki. Głupota byłoby pomagać Kremlowi tylko po to, aby mógł on dalej prowadzić swoje wyrotowe działania na Półkuli Zachodniej za pośrednictwem Kuby i Nikaragui.

Przede wszystkim nie spieszymy się z podpisywaniem jakichkolwiek porozumień. Trzeba nam teraz cierpliwości, rozwagi i wysiłków mających na celu świadomienie obywatelom całego sojuszu państw zachodnich, czym jest w istocie międzynarodowa równowaga sił. Czas pracuje na niekorzyść Sowietów. Prezydent Bush powinien na początek ujawnić całą haniebną politykę RFN, której minister spraw zagranicznych Hans Dietrich Genscher,

stał się ugodowy do potęgi. Genscher już nie tylko zachwyca się każdym gestem Moskwy, lecz dąży do ugody nawet z osobnikami pokroju Chomeiniego. W listopadzie ub.r. udał się do Teheranu, tam spotkał się z krwiożerczymi ajatollahami, po czym wrócił do Bonn w samą porę, aby odwołać planowaną wizytę młodego Szacha w RFN. Taki człowiek godzien jest politycznej dyskredytacji, a nie szacunku, który mu się okazuje. George Bush, któremu powinno zależeć na jak najszybszym i zdecydowanym zademonstrowaniu własnej linii przywódczej, wydaje się być odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania. Na wstępie mogłoby przypomnieć Herr Genscherowi i całej reszcie naszych sojuszników, że propozycje Zachodu w kwestii wzajemnej redukcji zbrojeń sięgają znacznie dalej niż oferta Gorbaczowa, i że właśnie zachodnich propozycji Zachód powinien się trzymać.

Znaleźliśmy się w punkcie zwrotnym obecnego stulecia, i duża w tym zasługa naszej własnej rozsądnej polityki. Przystępując do ostatecznej rozgrywki, trzymajmy się metod, które doprowadziły naszego historycznego przeciwnika na skraj porażki, a w odpowiednim momencie strąćmy go eleganckim gestem na śmietnik historii.

## AFGANISTAN NIE JEST SOWIECKIM WIETNAMEM (fragmenty)

Przyjęto się nazywać Afganistan "sowieckim Wietnamem" i jeżeli Sowieci dotrzymają obietnicy wycofania się z Kabulu, będzie to analogia po części usprawiedliwiona: w obu przypadkach supermocarstwo rezygnuje z przewlekłej wojny na kontynencie azjatyckim, nie osiągnąwszy w pełni zamierzonych celów wojskowych i politycznych. Porównanie staje się jednak zupełnie nieadekwatne, jeżeli wskazywać ma na podobieństwo postaw moralnych Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego, gdyż między postępowaniem Amerykanów w Wietnamie a Sowieców w Afganistanie istnieją trzy zasadnicze różnice.

### Za grosz sympatii

Zacznijmy od tego, że nasza strona zdobyła "serca i umysły" narodu południowowietnamskiego, podczas gdy strona sowiecka nie zyskała poparcia Afgańczyków.

Kiedy w 1965 roku oddziały amerykańskie wylądowały w Wietnamie, władza rządu Wietnamu Południowego ograniczona była do miast i zbrojnych przyczółków. W roku 1973, kiedy wojska USA opuszczały Wietnam i podpisano traktat pokojowy, rząd sajsgoński mógł się poszczycić politycznym poparciem większości obywateli; rozbudował ponadto administrację i wojsko w stopniu umożliwiającym sprawne zarządzanie większością kraju i odpiernie bez pomocy oddziałów amerykańskich zbrojnych interwencji komunistów. Wietnam Południowy odnosił coraz większe sukcesy w rozwijaniu gospodarki miejskiej i rolnej, a ochrona ludności tego kraju była zapewniona na tyle, że w 95% osad mogły się odbyć demokratyczne wybory. Gdyby nie brak pomocy ze strony Stanów Zjednoczonych w postaci broni i amunicji wobec masowej, wspieranej przez Sowiety, inwazji sił konwencjonalnych Wietnamu Północnego w roku 1975 (co stanowiło brutalne pogwałcenie pokojowych ustaleń paryskich), Wietnam Południowy byłby dziś zapewne państwem niepodległym i demokratycznym.

Sytuacja komunistycznego rządu w Kabulu jest całkowicie odmienna: ma on poparcie mizernej części obywateli i nie jest w stanie ani sprawnie administrować krajem, ani skutecznie opierać się zbrojnej opozycji (...) Partyzanci są dziś mocniejsi i sprawniejsi w działaniu niż byli dziesięć lat temu, kiedy So-



wieci rozpoczęli operacje wojskowe na tym terenie. (...)

Druga różnica polega na tym, że Ameryka prowadziła wojnę w Wietnamie w oparciu o prawo i zgodnie z międzynarodowymi zasadami obowiązującymi cywilizowane narody, podczas gdy okrucieństwa Sowietów w Afganistanie przyrównać można do zbrodni dokonywanych przez hitlerowców i Japończyków podczas II wojny światowej.

Zgodnie z prawem wojennym, wojska USA dokonywały rutynowych akcji usuwania ludności cywilnej z terenów walk. Amerykańskie zasady zaangażowania przewidywały jak najmniejszą liczbę poszkodowanych spośród ludności cywilnej. Zbrodnie wojenne, jak masakra My Lai, były podawane do publicznej wiadomości, podawane śledztwu i karane z zastosowaniem właściwej procedury.

Amerykanie okazali współczucie niewinnym ofiarom wojny i wspomagali je przy każdej nadarzającej się okazji. Zapewniono pomoc finansową osobom, które znalazły się w ogniu walk. Rodzinom - bez względu na to, która ze stron była odpowiedzialna za śmierć ich krewnych - wypłacano odszkodowania. Cywilni inwalidzi otrzymywali tę samą pomoc medyczną co personel wojskowy. Liczba ofiar wśród ludności w stosunku do wszystkich ofiar wojny wietnamskiej była procentowo znacznie niższa niż podczas II wojny światowej, czy w Korei.

#### Głosowanie nogami

Związek Sowiecki demonstracyjnie ignorował wszelkie prawa wojenne w Afganistanie. Setki tysięcy bezbronnych wieśniaków - w tym kobiety, dzieci i starców - zgładzono metodami współczesnej technologii wojskowej - także bronią chemiczną, zakazną na mocy międzynarodowego porozumienia. Szpitale, w których ludność cywilna mogłaby otrzymać pomoc medyczną, były bombardowane przez sowieckie lotnictwo. Sowieci odmówili uznania praw człowieka wobec swoich przeciwników: komunistów w Afganistanie nie utrzymują ani jednego obozu jeńców wojennych. Ich metody egzekucji to między innymi: topienie w ekskrementach, grzebanie żywcem, miażdżenie pojazdami opancerzonymi, rozrywanie ładunkami wybuchowymi. Do metod tortur zaś należą: przytapienie, pozabawianie snu, zrywanie paznokci, elektrowstrząsy.

Trzecią, i bodajże najjaskrawszą, różnicą między Amerykanami a Sowiecami jest klerunek, w którym cywile głosowali nogami: w latach 50-tych, gdy Ho Chi Minh konsolidował swe siły na północy, blisko milion Wietnamczyków zbiegło na południe. Od czasu podboju południa przez Hanoi, ponad milion wietnamczyków szukało schronienia na Zachodzie, często ginąc na morzu w łupinkach łódek - a i do dziś co roku dziesiątki tysięcy ludzi uchodzą z kraju. Stany Zjednoczone przyjęły około pół miliona wietnamskich uchodźców, a zaspokojenie ich potrzeb wzięt na siebie nie tylko rząd: cała Ameryka ruszyła na pomoc cierpiącym, w tym prywatne agencje pomocy i tysiące rodzin, gotowych pomóc Wietnamczykom w rozpoczęciu nowego życia.

Dla porównania: 1/3 populacji Afganistanu zbiegła dotychczas z kraju - i to w kierunku o d Sowietów, a nie do Sowietów. Ponad trzy miliony ludzi uciekło do Pakistanu, następne dwa miliony - do Iranu. (...) Gdyby do władzy doszli mudżahedini - trudno oczekiwać masowych ucieczek Afgańczyków do Związku Sowieckiego.

## Sukces wietnamizacji

Tak w przypadku Amerykanów, jak i w przypadku Sowieców, celem było zapewnienie rządowi ogarniętego wojną kraju możliwości obrony własnego narodu i rządu nlm. Na początku wojny wietnamskiej przyjęliśmy strategię, która pozwalała nam demonstrować wyższość militarną sił USA nad siłami Północnego Wietnamu, lecz niezbyt silnie mobilizowała do akcji Wietnam Południowy i nie dawała dość silnej przeciwwagi dla strategii politycznej komunistów. Po roku 1968 zdążyliśmy jednak skorzystać z własnych doświadczeń i przypuścić ofensywę polityczno-militarną wraz z naszymi południowowietnamskimi sojusznikami, dzięki której do czasu podpisania traktatu pokojowego w roku 1973 wróg został zepchnięty na margines wpływów politycznych.

Nasza skuteczna strategia "wietnamizacji" nabrała rozmachu po szoku komunistycznej ofensywy Tet w roku 1968 i została formalnie zaakceptowana przez wybranego w roku 1969 prezydenta Richarda Nixona. Intensywna walka "o serca i umysły" miała cztery główne aspekty: decentralizację władzy politycznej i przeprowadzenie wyborów powszechnych na szczeblu lokalnym; zapewnienie ludziom broni, szkolenia wojskowego i niezbędnej pomocy obronnej; inwestowanie w drogi, mosty, kanały, szkoły, szpitale; rozszerzenie gospodarki rynkowej dzięki przeprowadzeniu reformy rolnej, kredytom dla rolników, badaniom naukowym i pomocy technicznej dla początkujących gospodarzy. W tym samym czasie ofensywa Tet przyniosła porażkę komunistom, pomniejszając siłę polityczną Viet Kongu i stwarzając próżnię, w którą nowo utworzone oddziały pacyfikacyjne weszły energicznie i skutecznie.

### Demokracja i postęp w Wietnamie

Zbrodnie popełnione przez komunistów w ofensywie Tet wzmogły wolę walki narodu wietnamskiego. Według Jamesa Collinsa ("Rozwój i szkolenie Armii Wietnamu Południowego"), wietnamskie siły zbrojne gwałtownie zwiększyły swoją liczbę - w tym oddziały regularnej służby z poniżej 350 tysięcy przed Tet do ponad 500 tysięcy do czasu wycofania wojsk USA w roku 1973, siły terytorialne z poniżej 300 tysięcy do ponad pół miliona, a zbrojne oddziały samoobrony działające we wsiach - także do pół miliona ludzi. Podczas gdy regularne oddziały wietnamskie zastępowały wycofujących się Amerykanów w powstrzymywaniu ataków Północnego Wietnamu, siły terytorialne skutecznie strzegły politycznej integralności na szczeblu lokalnym.

Do roku 1972 rząd Wietnamu Południowego uzyskał dominację polityczną na wsi w stopniu równym dominacji Viet Kongu z roku 1967. Zaczynała kwitnąć demokracja, z udziałem energicznej opozycji. W latach 1966 i 1967, zaledwie około połowy wiosek południowowietnamskich czuło się dość bezpiecznie, aby uczestniczyć w wyborach do konstytuandy; na urząd prezydenta; do dwóch izb, wyższej i niższej, zgromadzenia narodowego; do rad gminnych i na szefów osad. W roku 1970 wieś wietnamska była już tak dalece spacyfikowana - przynajmniej za dnia - że w wyborach mogło wziąć udział 95% wiosek i osad, a partia opozycyjna - grupa zwana "Kwiat Lotosu" - uzyskała największą liczbę głosów w wyborach do senatu.

Ożywczo działał też wzrost gospodarczy. Generał Nguyen Duy Hinh w swojej książce "Wietnamizacja i rozejm", zauważył: "W roku 1970 produkcja ryżu osiągnęła wysokość 5,5 mln ton, prze-

kracząc wyniki z roku 1964, który był rokiem największego urodzaju od końca II wojny światowej. W latach 1971 i 1972 produkcja ryżu wzrastała dalej, aż do 6,1 mln ton". Wynaleziona przez amerykańskich naukowców na Filipinach odmiana ryżu zwana "Zieloną Rewolucją" zapewniała kilkakrotne zbiory rocznie, rodząc przy tym dwa razy tyle ryżu co odmiany tradycyjne. Do roku 1971 blisko połowę obszaru wynoszącego 2,6 mln hektarów obsiano nowymi odmianami ryżu. Nadwyżka produkcji ryżu oznaczała zwiększenie hodowli prosiąt i kaczek. Hinh przypomina o intensywnych pracach "przy budowie dróg, regulacji rzek i kopaniu kanałów, budowie szpitali i szkół. W roku 1961 do szkoły uczęszczało zaledwie 61% dzieci. W roku 1971 procent uczniów sięgnął liczby 94. Prawie każdy okręg miał przy tym swoją szkołę wyższą". Te skuteczne programy ekonomiczne wcielane były w życie przez Wietnamczyków, ale - jak piszą generałowie Cao Van Vien i Dong Van Khuyen w "Refleksjach o wojnie wietnamskiej" - "Bez pomocy technologicznej Stanów Zjednoczonych, bez amerykańskich funduszy i amerykańskich materiałów, programy te nie dałyby się zrealizować w tak wielkim stopniu i w tak krótkim czasie.

#### Boom Hondy

Sir Robert Thompson w książce "Pokój nie jest blisko", tak ocenia znaczenie wietnamskich sukcesów:

"To gwałtowne prosperity często określa się terminem "Honda boom". Nie ulega wątpliwości, że to właśnie hondy, telewizory i tranzystory sygnalizują narodziny społeczeństwa konsumpcyjnego wśród południowowietnamskiej ludności rolniczej. Jednocześnie zaś sporo inwestowano w pompy usprawniające nawadnianie pól, w motory do sampanów i łodzie rybackich, a nade wszystko - w traktory. Do końca roku 1971 w Wietnamie Południowym było blisko 40 tysięcy traktorów, i to nie ofiarowanych za darmo, lecz zakupionych przez rolników indywidualnych i spółdzielnie. To właśnie była ta "rewolucja", o którą ludziom chodziło, a przebiegała ona pomyślnie mimo wojny - dzięki systemowi wolnokonkurencyjnemu. Dzięki wzrostowi produkcji Wietnam Południowy był pod koniec roku 1971 niemal samowystarczalny, jeżeli chodzi o wyżywienie ludności. Spadła też inflacja. Sukces gospodarczy sprawił, że każdy rolnik przyczyniał się nie tylko do zaspokojenia potrzeb własnego obszaru, lecz i do wzrostu obronności kraju".

Autor książki dodaje, że do roku 1973 program reformy rolnej, autoryzowany aktem legislacyjnym z roku 1970, uczynił gospodarzami na własnej ziemi ponad 600 tysięcy chłopów, którzy objęli w posiadanie przeszło dwa miliony akrów ziemi uprawnej. Ten sam akt legislacyjny gwarantował rekompensatę dawnym właścicielom podzielonych obszarów. Reforma dała drobnym farmerom to, co przez dziesięć lat obiecywali im komuniści.

Siły zbrojne Republiki Wietnamu stały się zdolne do obrony własnego kraju. Prezydent Nixon, w książce "Dość Wietnamu", pisze: "Nasz program wietnamizacji zmienił armię Wietnamu Południowego w imponujące siły zbrojne, posiadające 120 batalionów piechoty zorganizowanych w 11 dywizji, 58 batalionów artylerii i 19 jednostek bojowych w randze batalionu... Nasza pomoc ekonomiczna przyczyniła się do bezprecedensowego wzrostu dobrobytu narodu południowowietnamskiego". Te zdumiewające sukcesy były rezultatami odpowiedniej polityki i zmiany priorytetów po roku 1968. Zmiany te przyspieszyły przygotowanie obywateli Wietnamu

Południowego do samodzielnych rządów i samodzielnej obrony.

Wycofującym się wojskom Stanów Zjednoczonych ochronę dawały siły zbrojne Wietnamu Południowego, co stanowi znaczące przeciwieństwo dzisiejszej sytuacji Sowietów w Afganistanie. Jeszcze w roku 1975 - chociaż Wietnam Południowy wystrzelał już wówczas całą amunicję przeciwko zmasowanej ofensywie sił konwencjonalnych Wietnamu Północnego i załamała się wobec braku pomocy ze strony USA - dumne, waleczne oddziały - niedobitki południowowietnamskiej 18-tej Dywizji ostatecznie ucieczką ostatecznych Amerykanów i tłumów Wietnamczyków pragnących uciec przed komunistyczną tyranią.

### Porażki Sowietów w Afganistanie

Znamienne, że pozbawieni skrupułów w sprawie stosowania najbardziej nawet niehumanitarnych i barbarzyńskich metod Sowieci, jakoś nie zdawali sobie sprawy z sytuacji afgańskiej. Gdy sowieckie oddziały szły do odwrotu, "New York Times" z dnia 6 maja 1988 podawał za amerykańskim Departamentem Stanu, że afgański ruch oporu "już w tej chwili kontroluje przeważające obszary kraju". Sowieci nie zdawali sobie podporządkować ruchu oporu, walczącego XIX-wieczną bronią i własną brawurą. Otrzymawszy doskonałą broń w końcu roku 1986, siły oporu stanęły do otwartej walki, zmuszając Sowietów i ich marionetkowy rząd do odwrotu.

Na łamach "Free Afghanistan Report" ze stycznia/lutego 1988 David Isby donosi, że ruch oporu atakuje garnizony regularnej armii i zmusił już oddziały sowieckie do wycofania się z bardziej odosobnionych placówek. Dzięki użyciu amerykańskich i brytyjskich pocisków przeciwlotniczych oraz chińskich wyrzutni rakietowych ruch oporu przejął inicjatywę w roku 1987. W tym roku komunisty stracili ponad 200 samolotów. Straty te sprawiły, że Sowieci stali się znacznie ostrożniejsi w atakowaniu ruchu oporu i popierającej go ludności. Większość z 1,2 mln zabitych w tej wojnie Afgańczyków to osoby cywilne. Przeważająca większość obywateli afgańskich nadal sympatyzuje z ruchem oporu, którego siły zbrojne kontrolują trzy czwarte obszaru kraju i mają wolny dostęp do wszystkich jego zakątków.

W końcu roku 1987 Sowieci zostali zmuszeni do przeprowadzenia największej w tej wojnie ofensywy zimowej celem niesienia pomocy obłożonej bazie armii afgańskiej w Khost. Nie ulega wątpliwości, że obecność Sowietów była konieczna dla podtrzymania niepopularnego reżimu afgańskich komunistów. Po przegranej na polu walki, Sowieci próbowali wymusić uległość środkami politycznymi w Pakistanie, gdzie, jak podaje "Christian Science Monitor" z 16 lutego 1988, popierani przez KGB terroryści zabili w ubiegłym roku 500 osób - zarówno uchodźców afgańskich, jak i Pakistanczyków. Usiłowania Sowietów zmierzające do złamania ducha narodu, którego nie pokonali w bezpośredniej walce, spętały na niczym. (...)

### Ameryka a prawo wojenne

Mówiło się, że cała wojna wietnamska jest niezgodna z prawem, ponieważ nie zastosowaliśmy się do postanowień genewskich z 1954 roku i nie przeprowadziliśmy wyborów w Wietnamie w roku 1956. Eisenhower tak pisze w swoich pamiętnikach: "Nie zdarzyło mi się rozmawiać ani korespondować z osobą obeznaną w sprawach indochińskich, która by nie potwierdziła, że w razie przeprowadzenia wyborów w trakcie walk, około 80% popula-

cji opowiedziałyby się za wybraniem na przywódcę Ho Chi Minha, a nie Bao Dai". Przepuszczenie Eisenhowera, zapewne słuszne, odzwierciedla panujące wśród Wietnamczyków w roku 1954 nastroje nacjonalistyczne, wobec których Bao Dai, nieudolny cesarz z poprzedniej epoki, uważany był za niesprawne narzędzie francuskiego kolonializmu. Jednak do roku 1956 Ho Chi Minh obnażył swoje prawdziwe oblicze komunistycznego tyraństwa i zantagonizował narodowe sentymenty brutalnym stłumieniem nacjonalistycznej opozycji politycznej, tracąc wszelkie poparcie po przeprowadzeniu masowej egzekucji 50 tysięcy chłopów w trakcie realizacji poronionego programu reformy rolnej. Tymczasem Ngo Dinh Diem zajął miejsce Bao Daja i obudził żywiołowe nastroje nacjonalistyczne w Wietnamie Południowym. Po roku 1956 Diem wygrał zapewne w prawdziwie wolnych wyborach, obejmujących zarówno Wietnam Północny, jak i Południowy, lecz dyktatura komunistów uniemożliwiła przeprowadzenie autentycznych wyborów na Północy. Ponieważ Stany Zjednoczone i Wietnam Południowy odmówiły podpisania deklaracji zezwalającej na wybory w roku 1956 - nie miały możliwości przeprowadzenia ich później.

Amerykańskie siły zbrojne w Wietnamie stanęły w obliczu tych samych trudności, z którymi później spotkali się Sowieci w Afganistanie. Istotną część tych trudności wynikała z charakteru walk z siłami powstańczymi wymieszanymi z ludnością cywilną. Różnica między sowieckim a amerykańskim postępowaniem w tej sytuacji daje wiele do myślenia.

Przed "wietnamizacją", główną amerykańską metodą postępowania z ludnością cywilną na terenach walk była deportacja, zgodnie z artykułem 49 Konwencji Genewskiej o Ochronie Osób Cywilnych. Wymagało to zakładania obozów dla uchodźców - obozów zaopatrzonych w żywność, urządzenia sanitarne, środki zabezpieczające, pomoc medyczną i szeroki wachlarz innych usług. Z przemieszczeniem ludności wiązało się też wyznaczenie stref wolnych od ognia i terenów, z których ludność była ewakuowana, objętych zakazem wstępu, w obrębie których siły Wolnego Świata miały prawo angażować się w walki z wrogiem bez zachowywania środków ochrony ludności cywilnej. Wymienione środki ostrożności skodyfikowane zostały w Zasadach Zaangażowania promulgowanych przez Amerykańskie Dowództwo Pomocy Wojskowej w Wietnamie (MACV). Zasady te określały sposób stosowania każdej niemal formy walk ogniochłonnych, w tym ognia marynarki, lotnictwa, piechoty, artylerii i czołgów. W publikacji zatytułowanej "Wojna wietnamska a prawo międzynarodowe" - zbiorze opinii ekspertów opracowanym przez Richarda Falka, profesor Telford Taylor, główny doradca oskarżenia w Procesie Norymberskim, omawia kwestię "Wietnam a zasady norymberskie", dochodząc do wniosku, że zasady zaangażowania opracowane i promulgowane przez MACV były "właściwie bez zarzutu".

#### Napałn i "Agent Orange"

Stany Zjednoczone krytykowane były nie tylko za samo użycie siły, ale i za rodzaje broni, którymi się posługiwały. Amerykanie używali w Wietnamie gazu łzawiącego i podobnych nie zagrażających życiu substancji, stosowanych powszechnie przy oparowaniu zamieszek. Znacznie większy niepokój obudziło w Wietnamie użycie środka ochrony roślin pod nazwą "Agent Orange" (Czynnik Pomarańczowy), zawierającego dioksynę. Ten środek, skutecznie tępiący chwasty i chwalony przez amerykańskich farmerów,

posłużył w Wietnamie do defoliacji drzew maskujących oddziały nieprzyjaciela w dżungli. W roku 1969 Narodowy Instytut Onkologiczny doniósł, że substancje chemiczne zawarte w "Agent Orange" powodują chorobę raka i wady wrodzone u niektórych zwierząt. (Nie ustalono jeszcze, czy "Agent Orange" działa szkodliwie na organizmy ludzkie; prowadzone są intensywne badania w tej dziedzinie). W konsekwencji, nie chcąc dopuścić do nieumyślnego pogwałcenia IV Konwencji Haskiej (Postępowanie na lądzie podczas wojny), w myśl której użycie trucizn w wojnie jest niedozwolone, dowództwo wojskowe USA zawiesiło w roku 1970 stosowanie "Agent Orange".

Podczas wojny mówiło się powszechnie o stosowaniu napalmu przez wojska amerykańskie jako o elemencie nieuzasadnionego okrucieństwa. Dyrektywa 525-18 MACV odradzała stosowanie wszelkiego rodzaju materiałów zapalających, "chyba że jest to nieodzowne dla wykonania zadań bojowych". Napalm okazał się wyjątkowo skutecznym środkiem przeciwko wszechobecnym tunelom i jaskiniom używanym w Wietnamie przez komunistów, toteż często określano jego użycie jako "nieodzowne". Przydawał się też w sytuacjach gdy oddziały amerykańskie znajdowały się w tak bliskim kontakcie z nieprzyjacielem, że użycie bomb odłamkowych zagrażałoby bezpieczeństwu żołnierzy amerykańskich. Nie ulega wątpliwości, że użycie napalmu oznacza ciężkie obrażenia wśród ludności cywilnej: cały świat obiegła fotografia nagiej dziewczynki, która ucieka z rejonu walk poparzona napalmem. Jednak Guenter Lewy w swojej dobrze udokumentowanej i wyważonej pracy, "Ameryka w Wietnamie", twierdzi, że "stworzone przez krytyków tej wojny wrażenie, iż wiele tysięcy wieśniaków i dzieci zostało poparzonych napalmem, jest bez wątplenia fałszywe". Dr John Knowles, członek grupy kontrolnej wysłanej w roku 1967 przez rząd USA dla zbadania tej kwestii, odnotował w publikacji pt. "Dziennik wietnamski: Medycyna a polityka", że "poparzenia spowodowane napalmem są bardzo nieliczne". Fakty te potwierdziły badania Komitetu Odpowiedzialności Na Rzecz Pomocy Poparzonej i Okaleczonym Dzieciom Wietnamskim, który w maju 1967 przedłożył Senackiej Komisji Sprawiedliwości raport stwierdzający, że inspekcja 75% szpitali Południowego Wietnamu wykazała zaledwie 38 cywilnych ofiar poparzeń, w tym 16 dzieci.

#### Bombardowanie Wietnamu Północnego

Oprócz ostrzału z ziemi, z powietrza i z morza stosowanego w Wietnamie Południowym, siły zbrojne USA dokonywały akcji bombardowań lotniczych w Wietnamie Północnym. Zalety strategiczne tej kampanii były przedmiotem licznych dyskusji i analiz amerykańskich speców wojskowych, a same bombardowania wywołały międzynarodowe oburzenie cierpieniami zadawanymi ludności cywilnej. Faktem jest, że straty zadane w II wojnie światowej przez lotnictwo amerykańskie ludności cywilnej Japonii i Niemiec nie znalazły odpowiednich sobie w Wietnamie. W pracy Norymberga a Wietnam Taylor pisze: "Uwzględniając stan lotnictwa uzyskany przez nas po II wojnie światowej, nie widzę dostatecznych podstaw do wysunięcia zarzutu zbrodni wojennych na podstawie bombardowań Wietnamu Północnego". Taylor konkluduje, że celem bombardowań amerykańskich "nie było spowodowanie strat wśród ludności cywilnej". Nawet po ciężkim "gwiazdkowym bombardowaniu" Nixona z roku 1972, Wietnam Północny zgłosił zaledwie

1500 ofiar śmiertelnych spośród ludności cywilnej. Była to liczba niska w porównaniu z bombardowaniem Tokio w roku 1945 (80 tysięcy zabitych) i Drezna (35 tysięcy zabitych), a poza tym przypisywano ją po części postępowi technologicznemu, umożliwiającemu znacznie większą precyzję i celność ostrzału.

Nixon, w książce "Dość Wietnamu" pisze, że nie wyraził zgody na bombardowanie rozbudowanego systemu kanałów w Wietnamie Północnym - mimo że zabieg ten sparaliżowałby kraj - właśnie z uwagi na przewidywane wielkie zniszczenia i straty ludności cywilnej. Prawa wojenne były przestrzegane - czego dowodem osławiona sprawa generała lotnictwa Johna Lavelle, który zarządził 28 akcji przeciwko nieuzgodnionym celom wojskowym: generał został pozbawiony funkcji, zdegradowany i odesłany na emeryturę. Lewy w konkluzji opracowania tej kwestii pisze, że "bombardowanie Wietnamu Północnego pozostawało w zgodzie z prawem międzynarodowym, a użycie amerykańskich sił powietrznych było w tym wypadku najbardziej ograniczone w świetle współczesnej sztuki wojennej. Cele, rodzaj amunicji i taktyka były każdorazowo ustalane tak, aby zminimalizować przewidywane straty ludności cywilnej".

#### Sąd wojenny nad porucznikiem Calleyem

Ogólnie rzecz biorąc, amerykańscy dowódcy wojskowi i sami żołnierze robili wszystko, aby przestrzegać zasad zaangażowania, mimo iż w wojnie niekonwencjonalnej tradycyjne prawa często wydawały się nie na miejscu. Były jednak wyjątki. Potraktowanie ich przez władze rzuca dodatkowe światło na pytanie, czy amerykańska obecność w Wietnamie i sowiecka obecność w Afganistanie są porównywalne pod względem moralnym.

Najgłośniejszą chyba zbrodnią wojenną popełnioną przez żołnierzy amerykańskich w Wietnamie był incydent w My Lai, w którym około 190 mężczyzn, kobiet i dzieci zostało zmasakrowanych przez kompanię armii USA. Dyrektywa 20-4 MACV zobowiązywała do meldowania o zbrodniach wojennych, czy to popełnionych przez USA, czy przez siły nieprzyjacielskie. Masakra My Lai pogwałciła nie tylko zasady zaangażowania MACV, ale także procedurę operacyjną. Chociaż sprawcy zbrodni usiłowali ukryć swój czyn, sprawa rozniosła się i trafiła w końcu do władz wyższych. Dwunastu oficerów i żołnierzy amerykańskich stanęło przed sądem pod zarzutem morderstwa. Porucznik William Calley sądzony był przez sąd wojenny, został uznany winnym zbrodni z premedytacją i skazany na dożywotnie więzienie. Mimo, że nie licujące z funkcją postępowanie Calleya zostało potępione przez korpus oficerski, wielu Amerykanów demonstracyjnie wystąpiło w jego obronie. Po rewizji, zmniejszono Calleyowi wyrok do dziesięciu lat więzienia. Telford Taylor pisze (Norymberga a Wietnam), że "doniesienia o reakcjach niektórych żołnierzy w /My Lai/ wskazują na to, iż uznali oni akcję za wykraczającą poza ramy normalnego postępowania". Guenter Lewy zauważa: "Fakt, że inne zbrodnie tych rozmiarów nie zostały odnotowane na liście sądu wojennego, nie dowodzi jeszcze sam w sobie, że podobne incydenty nie miały miejsca. Jednak biorąc pod uwagę jawność walk w Wietnamie Południowym dla dziennikarzy i zachętę, jaką sprawa My Lai była dla ludzi mogących donieść o podobnych okropieństwach, wydaje się mało prawdopodobne, że inna sprawa typu My Lai mogłaby nie wyjść na światło dzienne".

Według danych Głównego Sędziego Wojskowego USA amerykański personel wojskowy w Wietnamie oskarżono łącznie o 241 zbrodni wojennych (morderstwa, gwałty, torturowanie i maltretowanie jeńców). Po dochodzeniach, 36 z tych oskarżeń uznano za kwalifikujące się pod sąd wojenny. W 36 procesach sądono 60 osób, a ukarano 29 (w tym czterech oficerów i 25 żołnierzy).

#### Bezprawna wojna - polityką Sowietów

Zasadnicza różnica między amerykańskimi zbrodniami wojennymi a tymi, których dopuścili się Sowieci w Afganistanie, polega na tym, że zbrodnie w Wietnamie były sprzeczne z polityką Stanów Zjednoczonych, gwałciły konkretne punkty amerykańskiego regulaminu wojskowego i konkretne rozkazy, a ich sprawcy zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej we wszystkich przypadkach, w których materiał dowodowy kwalifikował sprawę pod sąd wojenny. W przypadku Sowietów, nagminne w czasie i przestrzeni gwałcenie międzynarodowych konwencji i protokołów ustalonych dla obrony ludności cywilnej i jeńców wojennych, a także ludobójstwo i stosowanie gazów trujących oraz broni chemicznej pozwala mówić o polityce bezprawnej wojny - w odróżnieniu od nie planowanych i nie autoryzowanych incydentów, których kryminalny wymiar tłumaczyłaby w pewnym stopniu gorączka walki.

O pogwałceniach przez Sowiety prawa wojennego donosiła Amerykańska Komisja Praw Człowieka, a także organizacje: Amnesty International, Helsinki Watch, Medecins sans Frontieres i inne. Barnett Rubin, wykładowca nauk politycznych w Yale, został jednym z amerykańskich ekspertów w tej dziedzinie. Wydawnictwo Freedom House opublikowało w roku 1987 jego książkę pt. "Afganistan: Drugie spojrzenie na wielką grę", w której Rubin dostarcza dowodów torturowania jeńców i więźniów cywilnych elektrowstrząsami, bicia, wrywania paznokci, pozbawiania snu, duszenia, gróźb morderstwa i przytapienia. Rubin podaje też szczegółowy opis masowych egzekucji przez rozstrzelanie z broni maszynowej, topienie w ekskrementach, grzebanie żywcem przy pomocy buldożerów, miżdżenie wozami pancernymi, rozrywanie ładunkami wybuchowymi przywiązanych do ciał ofiar, zrzucanie z urwisk skalnych, oblewanie benzyną i palenie, zakucie nożem i uduszenie.

Sowieci przynieśli z sobą bezprawie i bezinteresowne okrucieństwo nie znane wcześniej w Afganistanie, który ma reputację kraju zamieszkałego przez ludność dziką i nieokrzesaną. Po zamachu komunistycznym z kwietnia 1978 roku, a jeszcze przed wtargnięciem sowieckich jednostek bojowych, dopuszczano się aktów jawnego bezprawia za poparciem i przyzwoleniem sowieckich doradców. Edward Girardet na łamach "Christian Science Monitor" z 4 lutego 1980, przytacza incydent masowej rzezi około 1200 wieśniaków podejrzanych o popieranie ruchu oporu: akcji tej dokonano na rozkaz, bądź też za cichym poparciem, sowieckich doradców wojskowych. Zdaniem Olivera Roya ("Islam a ruch oporu w Afganistanie"), w latach 1978-79 zagięło tam bez wieści około 50-100 tysięcy osób.

#### Sowieckie bombardowania ludności cywilnej

Pojawienie się wojsk sowieckich w grudniu 1979 nie zmieniło sytuacji jawnego bezprawia, a tylko znacznie ją nasiliło. W ocenie Rubina, "Zapewne najpoważniejszą przyczyną strat wśród



ludności cywilnej były w tej wojnie sowieckie bombardowania zaludnionych obszarów pozostających pod kontrolą lub pod wpływem ruchu oporu". Artykuł 49 Konwencji Genewskiej (O ochronie ludności cywilnej podczas wojny) przewiduje: "Siły okupacyjne mogą przedsięwziąć całkowitą lub częściową ewakuację z danego obszaru jeżeli wymaga tego bezpieczeństwo ludności lub istotne względy natury militarnej... Siły okupacyjne dokonujące tego typu przemieszczeń lub ewakuacji obowiązuje się zapewnić wziętym pod ochronę osobom należyte warunki bytowe, przeprowadzić akcję z uwzględnieniem zasad higieny, zdrowia, bezpieczeństwa, wyżywienia oraz z dbałością o to, by nie rozdzielać rodzin".

Całkowite zignorowanie tych zaleceń przez siły sowieckie, które postępowały wręcz przeciwnie, zdumiało nawet tych, którzy znają cynizm komunistów i ich metodę stosowania wymogów cywilizacyjnych jedynie do siebie samych. W wydanej przez Helsinki Watch publikacji "Łzy, krew i krzyk", Rubin cytuje raport Juliette Fournot z organizacji *Medicins sans Frontieres*, opublikowany w roku 1984. Juliette Fournot, która odwiedziła wiele afgańskich miejscowości, pisze: "W ciągu ostatnich czterech lat każda wioska afgańska była zbombardowana co najmniej raz". Londyński "Financial Times" z 23 maja 1984 cytuje słowa sowieckiego dezertera: "Ileokroć mudżahedini podpałą ciężarówkę na drodze, oni /Sowieci/ przypuszczają atak na domy cywilów. Oni nie bombardują mudżahedinów - bombardują zwyczajne domy".

IV Konwencja Haska (1970) - "Postępowanie w wojnie na lądzie" - mówi wyraźnie: "Zabrania się atakować lub bombardować bezbronnych wsi, osad czy budynków" (Artykuł 25); "atakujący mają obowiązek ostrzegać przed przystąpieniem do bombardowania" (Artykuł 26); a także - "grabież jest niedozwolona" (Artykuł 28).

#### Znęcanie się nad dziećmi

Doniesienia o pogwałceniach prawa wojennego w rodzaju powyższych, i setek innych, nie pozwalają wątpić w to, że niszczenie ludności cywilnej i jej siedzib jest oficjalną polityką sowiecką, obliczoną na zastraszenie ludności i zmuszenie jej do opuszczenia obszarów uważanych za siedliska sił mudżahedinów, lub też po prostu na starcie ludzi z powierzchni ziemi, co było ulubioną metodą rozwiązywania problemów w dobie klasycznego stalinizmu. Rubin konkluduje: "Bombardowanie obiektów cywilnych jest bez wątpienia zamierzone, ponieważ Sowieci udowodnili, że potrafią z wielką precyzją trafiać w cele wojskowe, jeżeli tylko tego chcą. Bombardowania to kluczowy punkt strategii pacyfikacji. Jeszcze bardziej jaskrawym przykładem zamierzonego ataku na ludność cywilną - zwłaszcza dzieci - są miny ukryte w zabawkach i przedmiotach codziennego użytku". Powszechnie wiadomo o wywołanych tymi diabelskimi zabawkami stratach wśród dzieci. II Protokół Konwencji o Broni Konwencjonalnej z roku 1980 zakazuje stosowania "ładunków ukrytych w zabawkach (lub też min przypominających zabawki)". Sowieci działają tak, jakby planowali broń w oparciu o zakazy umów międzynarodowych (których ZSSR jest sygnatariuszem).

Artur Bonner na łamach "New York Times'a" z listopada 1985, cytuje sowieckiego dezertera do afgańskich sił oporu: "Nasi oficerowie polecili nam, żebyśmy atakując wioskę nie pozostawiali przy życiu ani jednej osoby, który by mogła opowia-

dać o zdarzeniach. W razie odmowy wypełnienia rozkazu sami dostalibyśmy czapę". W "New York Times'ie" z 28 stycznia 1983 Richard Bernstein przedstawia dokumentację masakry 105 wieśniaków dokonanej przez sowieckich żołnierzy, którzy wlaali materiał zapalający do podziemnego tunelu, gdzie ludzie ci się schronili, a następnie podpalili go.

#### Oficjalnie sankcjonowany sadyzm

Część dowodów drastycznych pogwałceń prawa pochodzi od samych sowieckich żołnierzy. Aleksander Aleksiejew z Rand Corporation przeprowadził cykl wywiadów z 35 dezertierami Armii Sowieckiej w Afganistanie. Jeden z żołnierzy mówił: "Ktoregoś dnia postali nas na ekspedycję karną. Chodziło o to, że codziennie ostrzeliwano nasz pułk. No więc pewnego dnia dostaliśmy rozkaz ostrzeliwania pewnej wsi, a potem starannego jej przeczesania i dobitcia tych wszystkich, którzy pozostali przy życiu". Inny żołnierz powiedział: "Byliśmy zdumieni naszym własnym okrucieństwem w Afganistanie. Dokonywaliśmy egzekucji na niewinnych wieśniakach. Gdy ktoregoś z naszych zabili lub ranili, my mściliśmy się za to zabijając kobiety, dzieci i starców. Zabijaliśmy wszystkich, nawet zwierzęta". Jeszcze inny żołnierz relacjonuje: "Kiedyś weszli do wioski, gdzie zostali tylko starcy i kobiety z dziećmi, bo wszędzie tam, gdzie szliśmy na akcję typu "znaleźć i zniszczyć", okazywało się, że zdolni do walki mężczyźni opuścili domy. Porucznik kazał żołnierzom plutonu spędzić wszystkie te kobiety, dzieci i starców do jednego pomieszczenia, a potem kazał tam wrzucać ręczne granaty".

Z przeprowadzonych przez Aleksiejewa wywiadów wynika, że z chwilą, gdy bezprawie zostaje raz usankcjonowane przez władze zwierzchnie, z ludzi wychodzi wszystko co najgorsze, a najpodlejsze typy z radością wyżywają się na swoich ofiarach: "Jednym z tych Afgańczyków był kapitan z brodą i tego oszczędzili. Ale nazajutrz rano oficer kazał jednemu żołnierzowi oblać starego benzyną i podpalić. Żołnierz nie był w stanie wypełnić rozkazu, zaczął wrzeszczeć. Oficer się zdenerwował i powiedział: "Dosyć tego. Patrz, jak to się robi". Złapał Afgańczyka za szyję i poderżnął mu gardło. Potem kazał żołnierzowi wykastrować go, żeby był czysty jak cherubin".

Aleksiejew stwierdził, że "istnieją niezbite dowody, dostarczone zarówno przez osoby, z którymi przeprowadzono wywiady, jak i przez byłych oficerów afgańskich na to, iż schwytani przez Sowieców bojownicy ruchu oporu natychmiast po przesłuchaniu odsyłani byli na egzekucję. Przesłuchania często obfitowały w tortury". W amerykańskim "Raporcie o sytuacji praw człowieka w Afganistanie", Felix Ermacora pisze, że w Afganistanie nie stwierdzono istnienia obozów jeńców wojennych.

Wnikliwe wywiady pozwoliły Aleksiejewowi dojść do wniosku, że "tego typu zachowania są typowe dla postępowania wojsk sowieckich, które cechuje niespotykana brutalność i jawna pogarda dla akceptowanych w skali międzynarodowych norm i konwencji prowadzenia wojny. Wykroczenia są nie tylko odgórnie tolerowane, ale wręcz podsycane podczas przeprowadzania operacji".

Już w roku 1980 dziennikarz holenderski, Bernd de Bruin, udokumentował na taśmie filmowej i na zdjęciach stosowanie przez Sowieców gazu trującego, a swoją relację przedstawił w piśmie "Nieuwsnet". "Żółty deszcz" Steriinga Seagrave'a przekazuje re-

lację naczelnego świadka, który ocalał z ataku gazowego: "Nasi bojownicy wymiotowali krwią, tak jakby pili krew i mieli jej pełne żołądki. Krew kapłała im z oczu jak łzy, kapłała z nosa... Nasi ludzie umierali szybko. Wymiotowali krwią, która brudziła im całe ubrania i zachowywali się jak wariaci - padali na ziemię, rzucali się".

Stosowanie gazów trujących jest zabronione na mocy Protokołu Genewskiego z roku 1925. Nawet faszyci na polach walki II wojny światowej stosowali się do tego zakazu. Konwencja Broni Biologicznej z 1972 roku zakazuje stosowania w wojnie wszelkich trucizn, jak również przenoszącej je broni.

Do roku 1982 amerykański Departament Stanu w swoim specjalnym raporcie - "Wojna chemiczna w Azji Południowo-Wschodniej i Afganistanie" - zebrał dokumentację około 3 tysięcy śmiertelnych ofiar broni chemicznej w Afganistanie. W konkluzji raportu czytamy: "Siły sowieckie stosowały w Afganistanie szereg odmian śmiertelnej broni chemicznej, w tym gazy paralizujące, poczynawszy od początku inwazji w roku 1979". "Wall Street Journal" z 7 lipca 1982 donosi o odkryciach amerykańskiej grupy ekspertów, która przeprowadzała w Afganistanie wywiady ze świadkami i ofiarami ataków biochemicznych. Potwierdziło się, że Sowieci używali "żółtego deszczu", zatrutych pocisków i strzał, "czarnego dymu", bomb chemicznych i środków zatrzymujących plody rolne. W wydanym przez Freedom House w roku 1987, pod redakcją Rosanne Klass, kompedium pt. "Afganistan", Yosef Bodansky relacjonuje wypowiedzi żołnierzy sowieckich wojsk chemicznych pojmanych w Afganistanie: "Od 1980 roku Sowieci przetestowali i zastosowali w Afganistanie co najmniej dwie generacje broni chemicznej, w tym wszelkie dawne śmiertelne środki znajdujące się w sowieckim arsenale, a także rodzinę nieznaną dotąd "super-środków paralizujących", które stały się podporą nowego sowieckiego arsenału chemicznego".

#### Amykańska pomoc ofiarom wojny

Siły zbrojne mogą pomnożyć lub pomniejszyć okrucieństwa, które niesie z sobą wojna. Przez cały czas trwania wojny wietnamskiej towarzyszyły jej straty ludności cywilnej i przemieszczenia ludności. Program badawczy armii Stanów Zjednoczonych - "Prowadzenie wojny w Wietnamie" - wykazał, że w latach 1966 i 1967 dokonano wysiedlenia ponad miliona ludzi, a do roku 1970 liczba przemieszczonych wzrosła do ponad czterech milionów. Stanowiło to jedną czwartą część całej populacji.

Niemal wszyscy uciekinierzy chronili się na stronę amerykańską, często ze strachu przed siłami komunistów, lecz również często ze względu na to, że siły USA i ich sojuszników zapewniały uciekinierom dach nad głową, opiekę i wyżywienie, których nie gwarantowała strona przeciwna. Zdarzały się wypadki ranienia osób cywilnych wskutek akcji bojowych podczas przemieszczania. Amerykańskie szpitale wojskowe udzielały pomocy wszystkim, którzy do nich trafili. Według statystyk medycznych amerykańskiej Agencji ds Rozwoju Międzynarodowego, wspierane przez amerykańską pomoc szpitale wietnamskie udzieliły w latach 1965-1974 pomocy blisko pół milionowi osób cywilnych poszkodowanych w wyniku działań wojennych.

W swojej książce "Ameryka w Wietnamie", Lewy oblicza, że "liczba ofiar śmiertelnych wśród ludności cywilnej (łącznie

w Wietnamie Północnym i Południowym) osiągnęła 28% wszystkich poszkodowanych, których liczbę oblicza się na milion trzysta trzysta tysięcy osób, a więc była niższa niż szacunkowe dane dotyczące II wojny światowej (40%) i Korei (70)". Taylor ("Norymberga a Wietnam") twierdzi, że fakt posiadania przez Amerykanów większej siły ogniowej oznacza "że jesteśmy odpowiedzialni za większą część strat wśród ludności cywilnej". Lewy zauważa, że "poszkodowani byli sukcesywnie zbierani przez łachuch ewakuacji helikopterowej i większość z nich uzyskała szybką pomoc medyczną". Ten sam autor dodaje, że wietnamskie ministerstwo opieki społecznej, przy współpracy Amerykanów, "wypłaciło odszkodowania najbliższym krewnym ofiar śmiertelnych, zabitych podczas operacji wojskowych, bez względu na to, która ze stron była stroną atakującą".

#### Ucieczki Wietnamczyków na stronę amerykańską

Większość amerykańskich jednostek wojskowych przeprowadzała własne programy "akcji cywilnej" w stosunku do Wietnamczyków. Akcje te obejmowały pomoc medyczną, dbałość o stan sanitarny, budowę szkół i innych obiektów użyteczności publicznej, oraz pomoc dobroczynną dla najbiedniejszych. Przed rokiem 1968 strategia amerykańska zakładała zachęcanie ludności do przesiedlenia się na obszary kontrolowane przez siły USA i rządu wietnamskiego. W latach późniejszych, wobec sukcesów programu pacyfikacji, zmieniono politykę w kierunku zapewnienia ludziom ochrony w miejscu zamieszkania. Zredukowało to liczbę uchodźców. Równocześnie wielu uchodźców przesiedlono. Lewy odnotowuje, że "dużą liczbę uchodźców przesiedlono do nowych wsi i osad", dodając przy tym, że "w latach 1969-71 ponad milion uchodźców powróciło do swoich dawnych domów".

Jednak według opinii Hinha ("Wietnamizacja i rozejm"), inwazja Wietnamu Północnego z roku 1972 spowodowała ponowne wysiedlenie 1,2 mln ludzi. Ci również mieli być przywrócenii na poprzednie miejsca zamieszkania po odparciu inwazji. Jednak ta próba przywrócenia normalnego życia skazana została na fiasco przez północnowietnamską inwazję z roku 1975, w wyniku której miliony obywateli Wietnamu Południowego "głosowały nogami" uchodząc przed zbliżającą się armią. Wielu z nich - tzw. "boat people" (ludzie w łódkach) - próbowało ucieczki przez ocean. Obraz milionów zdesperowanych ludzi, uciekających w objęcia Stanów Zjednoczonych, jaskrawo kontrastuje z ponurym losem milionów Afgańczyków uciekających przed Sowietami. Od czasu upadku Wietnamu w Indochinach zbiegło przed rządami komunistów ponad 1,7 mln ludzi, nie licząc nieznanych z nazwiska setek tysięcy wietnamskich "boat people", którzy zaginęli w falach oceanu.

#### Ucieczka Afgańczyków przed Sowietami

Wojna w Afganistanie dla milionów ludzi oznaczała przesiedlenie. Rząd Pakistanu zarejestrował do sierpnia 1987 roku 3,2 mln uchodźców afgańskich - liczbę tę podaje Amnesty International w majowym raporcie z roku 1988, "Afganistan: bezprawne zabójstwa i tortury". Według danych UNHRC, następne 2,2 mln afgańskich uchodźców znajdują się w Iranie. Liczby te nie obejmują wielkich grup ludności ściągniętej siłą z afgańskich wsi do miast kontrolowanych przez Sowietów na terenie Afganistanu.

Amnesty International donosi, że "bezbronni cywile, zi-

dentyfikowani jako należący do określonych grup - zwłaszcza ci, którzy podróżują jako uchodźcy - są regularnie chwytani i zabijani na miejscu, lub też atakowani na inne sposoby i zabijani z premedytacją, z pogwałceniem praw lokalnych i międzynarodowych".

W raporcie Helsinki Watch z roku 1984, dyrektor d/s wykonawczych Jeri Laber i profesor Rubin stwierdzają, że "strategią Sowietów i rządu afgańskiego było szerzenie terroru na wsi, tak aby wieśniacy bali się pomagać bojownikom ruchu oporu, którzy liczyli na otrzymanie od nich żywności i schronienia, albo żeby ich zmusić do opuszczenia miejsc zamieszkania. Setki rodzin uchodźców przekraczające co dnia granicę uciekają przed terrorem - przed masakrami, morderstwami i bezwzględny niszczeniem ich domów, pól i wszystkiego co posiadają".

Uchodźcy musieli opuszczać kraj chociażby w poszukiwaniu podstawowej opieki medycznej. W roku 1983 "Les Nouvelles d'Afghanistan" cytowały słowa francuskiego lekarza, Philippe Augoyarda:

"W czerwcu 1981 roku Sowietci podjęli systematyczne bombardowanie szpitali prowadzonych przez francuskie organizacje medyczne. Na początku tego roku zbombardowane zostały trzy małe szpitale prowadzone przez Medecins du Monde. 4 listopada MIGI-27 i opancerzone helikoptery typu MI-24 zaatakowały szpital Medecins sans Frontiers w Jāghori, Ghazni, w południowej części Hazarajat. 6 listopada trzy inne helikoptery zniszczyły aptekę Aide Medicale Internationale w prowincji Ningrahar. W późniejszych dniach listopada zaatakowano aptekę Medecins sans Frontieres w Waras. 14 marca 1982 zbombardowany został nowy szpital założony przez Medecins sans Frontieres w Jāghori".

Dr Laurence Laumonier z Aide Medicale Internationale powiedział Laberowi i Rubinowi: "Po pierwszym bombardowaniu naszego szpitala w Panczir, udałem się na spotkanie z /przywódcą ruchu oporu/ Massudem. Poinformowałem go, że zamierzamy wybudować nowy szpital i umieścić na jego dachu czerwony krzyż, aby nie było wątpliwości, że to jest szpital. Massud powiedział mi na to, że chyba oszalałem, bo taki znak tylko ułatwi Rosjanom bombardowanie. Mimo to umieściłem czerwony krzyż na dachu. Wkrótce potem przyleciały sowieckie helikoptery i zbombardowały szpital".

#### Spółeczeństwo otwarte a niewolnicze

Porównując Sowietów w Afganistanie z Amerykanami w Wietnamie zdumiewamy się szczupłością informacji na temat Afganistanu w porównaniu z lawiną szczegółowych doniesień z Wietnamu. Świadczy to o swobodzie zagranicznych dziennikarzy w Wietnamie, o wolności słowa w Ameryce, gdzie ukazało się wiele książek i artykułów na temat Wietnamu, a także o otwartości wolnego społeczeństwa, którego rząd działa w służbie publicznej. Przez cały czas trwania wojny w Wietnamie rzecznicy kongresowi, poprzez swoich obieralnych reprezentantów, informowali naród amerykański na bieżąco o przebiegu wojny, zapewniając jednocześnie nadzór Kongresu nad władzą wykonawczą w ramach działalności konstytucyjnej.

Podobnych praktyk nie odnotowano w Afganistanie, gdzie rząd nawykły do brutalnego traktowania własnych obywateli i utrzymywania ich w niewiedzy, prowadził wojnę bez możliwości nadzoru opinii publicznej, gdyż w przeciwnym razie jego brutal-

ne i bezprawne metody spotkałyby się z surową krytyką społeczną, na którą w pełni zasłużyły.

W książce "Łzy, krew i krzyk" Rubin cytuje słowa Witalija Smirnowa, sowieckiego ambasadora w Islamabadzie w roku 1984 (adresowane do Oliviera Warina, korespondenta Agence France Presse): "Ostrzegam pana, a poprzez pana wszystkich pańskich kolegów-dziennikarzy: zaprzestańcie prób penetrowania Afganistanu z tak zwanymi mudżahedinami. Od tej chwili ci bandyci i tak zwani dziennikarze - francuscy, amerykańscy, brytyjscy i inni - którzy im towarzyszą, będą zabijani. Nasze jednostki w Afganistanie będą w tym pomagały siłom afgańskim".

I Protokół Dodatkowy Konwencji Genewskiej, Artykuł 79, przewiduje: "Dziennikarze pełniący niebezpieczne misje zawodowe na obszarach konfliktu zbrojnego będą traktowani jak osoby cywilne".

Sowieci w Afganistanie nie przejmowali się prawem wojennym. Otwarcie odmawiają stosowania do siebie zasad cywilizowanego postępowania. Ich postawa rodzi zasadnicze pytanie o sens podpisywania z Sowietami jakichkolwiek umów. Mówiąc prościej, wydaje się, że podpisywanie porozumień do niczego Sowietów nie zobowiązuje. Gdy przychodzi do działania, działają tak, jakby żadnych umów nie było.

Porównywanie sowieckiej wojny w Afganistanie z amerykańską wojną w Wietnamie ma niewielki sens. Zbieżności można dostrzec tylko w sprawach najbardziej powierzchownych. Na poziomie celów, polityki i konkretnych działań ujawnia się jaskrawy kontrast między wojną prowadzoną przez wolne i otwarte społeczeństwo, rządzone zgodnie z prawem na mocy swego własnego przyzwolenia, a wojną prowadzoną przez zamknięte społeczeństwo niewolnicze, rządzone przez ludzi, którzy otwarcie gardzą prawem i odrzucają myśl, że każda istota ludzka obdarzona została przez Stwórcę prawami, których jej odbierać nie wolno.

---

LEE BRADDOCK, wydawca "The American Spectator", był oficerem służby zagranicznej USA w Wietnamie od 1968 do 1975 r.

## STAN WOJENNY JAKO MODEL ŻYCIA W AMERYCE ŚRODKOWEJ

## Militaryzm - trzon rewolucji sandinistowskiej

Sandinisci od momentu dojścia do władzy w 1979 roku budują w Nikaragui potęgę militarną niespotykaną dotychczas w historii Ameryki Łacińskiej. Już teraz posiadają oni jedną z największych spośród sąsiadujących krajów stałą armię - 75.000 regularnych żołnierzy i blisko 100.000 członków milicji - przy liczbie ludności sięgającej zaledwie 3.000.000 mieszkańców. Do roku 1990 - według rewelacyjnych informacji dostarczonych przez uciekiniera o wysokiej randze, majora Mirandę - siła milicji wzrosła do 600.000 osób. Lecz militaryzmu nikaraguańskiego nie należy mierzyć jedynie energią i nakładami finansowymi przeznaczonymi w tym zubożałym kraju na prowadzenie wojny czy obrony. Trzeba również pamiętać o istniejącym etosie: cały kulturowo-psychologiczny światek reżimu sandinistowskiego przesiąknięty jest militarystycznymi wartościami i postawami.

Marcowy atak na Honduras powinien dobitnie uświadomić, że ta cywilizacja wojskowa nie zniknie w rezultacie pokojowego planu Ariasa czy w wyniku odmowy amerykańskiej pomocy dla contras. Wręcz przeciwnie - minister obrony, Humberto Ortega, potwierdził rewelacje Mirandy dotyczące powiększenia sił zbrojnych, nawet jeśli stosunki z sąsiadami oraz z USA "unormują się". Militaryzm sandinistów poprzedził działalność contras: nie jest on w żadnym razie defensywną reakcją na zagrożenie inwazją amerykańską. Militaryzm jest podstawową zasadą nikaraguańskiej rewolucji oraz jednym z najbardziej zasadniczych i stałych elementów ideologii. Jest również właściwością struktury psychicznej sandinistowskich przywódców. Sandinisci nie byliby w stanie zdemilitaryzować Nikaragui nie naruszając podstaw swojego własnego porządku socjopolitycznego.

AK-47 na tle nieba

Militaryzm przenika wszystkie dziedziny życia nikaraguańskiego społeczeństwa. Najbardziej imponującym pomnikiem wzniesionym przez sandinistów w Managui jest olbrzymi posąg robotnika z groźnie podniesionym sowieckim karabinem AK-47 na tle nieba. Podobnie jak na Kubie Fidela Castro, i tu także wszyscy prawdziwi przywódcy rewolucji grają rolę "comandantes", zawsze w mundurach wojskowych. Wyjątek stanowią wizyty prezydenta Orte-

gi w Stanach Zjednoczonych, dokąd, za poradą konsultantów d/s międzynarodowych, udaje się w garniturze. Winieta sandinistowskiej gazety "Barricada" przedstawia obraz partyzanta strzelającego z barykady.

W przemówieniach commandantes roi się od słów związanych z walką: "wrogowie", "unicestwić", "pokonać", "zmiążyć", "atak", "ofensywa", - nawet jeśli dotyczą one rolnictwa. Odpowiednio poinstruowani zwolennicy reżimu po każdej wypowiedzi przywódców skandują: "Rado Rewolucyjna, czekamy na twe rozkazy". W kampanii na rzecz likwidacji analfabetyzmu w 1980 roku ze studentów sformowano "brygady". Przy zbiorze kawy i bawełny pracowników dzieli się na "bataliony produkcyjne".

Szkolne elementarze uczą dzieci dodawania za pomocą liczenia granatów i pocisków. Zaszczepia się im również nienawiść do Stanów Zjednoczonych. Na pochodach wojskowych muszą wykrzykiwać hasła typu: "Wolna ojczyzna albo śmierć!", na zmianę z unoszeniem pięści z okrzykiem: "Jankešom wszędzie śmierć!".

Mesjanistyczna, a nawet czasami apokaliptyczna wizja rewolucji światowej znajduje poetycki wyraz w słowach commandantes - jak w przypadku ministra spraw wewnętrznych Tomasa Borge: "Wśród cierpień, w bólu i bohaterskim splendorze, rodzi się nowe potomstwo historii. Rewolucja jest na porządku dziennym w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej. Ameryka Środkowa chwiewie się pod wpływem społecznego trzęsienia ziemi".

#### Rewolwerowcy marksistowskiej rewolucji

Jedno ze źródeł sandinistowskiego militarystyki stanowi światopogląd marksistowsko-leninowski. Według Marksa i Engelsa historia to dosłownie pole walki antagonistycznych klas, na którym burżuazyjne społeczeństwo może zostać zniszczone jedynie poprzez gwałtowną rewolucję. Lenin, odrzucający poglądy pacyfistycznych socjalistów, napisał, że "wojny narodowe przeciwko imperiom nie tylko są możliwe i prawdopodobne, ale nieuniknione, postępowe i rewolucyjne".

Jak wykazał James Payne i inni eksperci, rządy marksistowsko-leninowskie zawsze trzymają pod bronią dużo wyższy procent obywateli niż czynią to ich sąsiedzi. Na przykład Kuba posiada największą w Ameryce Środkowej regularną armię - 297.000 żołnierzy - oprócz tego "milicję terytorialną", w której służy ponad milion osób, mimo że liczba ludności tego kraju wynosi 10 milionów. Chociaż olbrzymia armia kubańska rzekomo powołana została do obrony wyspy przed inwazją, Castro od 10 lat utrzymuje w Afryce oddziały, których wielkość szacuje się na 40.000.

Sandinisci nie stanowią wyjątku od tej reguły. Podczas kilku pierwszych tygodni sprawowania władzy, gdy rewolucja cieszyła się ogromnym poparciem większości Nikaraguańczyków, a także krajów zachodnich, zorganizowali potężną milicję narodową. Już w ciągu roku liczebność wojsko sandinistowskiego była dwukrotnie wyższa niż Gwardii Narodowej Somozy. Do listopada 1981 roku, kiedy oddziały contras liczyły 400 członków, w armii rewolucyjnej służyło 40.000 żołnierzy, co stanowiło największą potęgę wojskową w Ameryce Środkowej.

W 1984 commandante Luis Carrion oświadczył, że "gotowość militarna i zwiększona siła bojowa" jest jednym ze "stałych zadań", które należy wypełniać "aż do momentu, gdy Stany Zjedno-



czone przestaną być krajem imperialistycznym" - co w terminologii marksistowsko-leninowskiej oznacza chwilę, kiedy kapitalizm burżuazyjny rozpadnie się, a USA stanie się państwem socjalistycznym.

### Życ jak Ché

Psychologiczne źródła militarystyki można również odnaleźć w prywatnym życiu sandinistów. Dziewięciu commandantes - członków Rady Narodowej Frontu Sandinistowskiego - od najmłodszych lat było zawodowymi partyzantami i konspiratorami. Większość wyrzucono ze szkół albo wyższych uczelni. Żaden z nich nie zhańbił się pracą ani zdobyciem zawodu. Nie nabyli również praktyki wymaganej przy prowadzeniu prywatnych firm lub instytucji. Doświadczenie posiadają jedynie w organizowaniu akcji partyzantskich.

Większość sandinistowskich przywódców, pochodzących zazwyczaj z klasy średniej, począwszy od lat młodzieńczych aż do dojścia do władzy nie rozstawała się z bronią. Wielu wiodło niebezpieczne życie. Niektórzy zabijali - jak w latach insurrekcji bracia Ortega i Tomas Borge. Część doświadczyła więzienia i tortur. Żaden nie prowadził normalnego życia rodzinnego i zawodowego. Broń jest symbolem ich tożsamości, jak krzyż dla chrześcijan. Podczas wojny lub tuż po niej niektóre pary sandinistowskie "zawarty związek małżeński przed rewolucyjnym karabinem".

Niemal 18 lat trwał wysiłek zbrojny Frontu Sandinistowskiego potrzebny do obalenia rządu Somozy i w tym okresie zginęła blisko połowa przywódców. Prawie przez cały czas pogardzali oni ludźmi, którzy przeciwstawiali się Somozie w sposób tradycyjny - na arenie politycznej lub poprzez ruch związkowy; w latach siedemdziesiątych Humberto Ortega odrzucił instytucję związków zawodowych jako część imperialistycznego planu, którego celem jest "burżuazyjno-demokratyczne rozwiązanie" kryzysu rewolucyjnego. Dla sandinistów legalność oznaczała włączenie się do systemu burżuazyjnego."

Dlatego też starali się przyciągnąć młodych bojowników zakochanych w wojnie - odwieczna skłonność dorastającej młodzieży na całym świecie - przekonanych o zbawczej i oczyszczającej sile przemocy rewolucyjnej. Dla nich życie walczącego partyzanta było najwyższym powołaniem, a śmierć za sprawę poczytywano za zaszczyt. "Trzeba być takim jak Ché!" - wołał sandinistowski poeta Leonel Rugama. Podobnie jak Franz Fanon sandiniści przekonani byli, że przemoc rewolucyjna uwolni człowieka od jego burżuazyjnej natury, pozwoli mu zerwać ze swoim pochodzeniem i stać się nową jednostką. Na przykład commandante Omar Cabezas o doświadczeniach kombatantskich opowiada w ten sposób: "Po raz pierwszy zabiłem człowieka. Czuję bezgraniczne szczęście, jakbym rozładował odwieczne napięcie". Bez wahania można stwierdzić, że sandiniści wręcz gloryfikowali gwałt, zamiast go potępić.

Kiedy bojownicy doszli do władzy, stanęli nagle przed zadaniami bardzo prozaicznymi, w porównaniu z obfitującym w niebezpieczeństwa przygotowaniem zasadzek i kontrzasadzek. Musieli odbudować maltretowany i wyniszczony wojną naród, zrujnowaną gospodarkę. Musieli rządzić - a do tego zadania nie byli należycie przygotowani. Perspektywa konfliktu zbrojnego była bardziej pociągająca od zaspokajania żądań natarczywych gospodyń domowych i chłopów, konsumentów i producentów. Dlatego

model spartański okazał się bardziej atrakcyjny psychologicznie od ateńskiego. Jako przywódca społeczeństwa, które stoi wobec niebezpiecznego wroga, sandiniści mogli powrócić do jedynej roli, w której czują się rzeczywiście dobrze. Nie musieli nawet zmieniać strojów.

### Zdobywanie młodzieży

Ważniejszy od ideologicznej i psychologicznej przydatności militarystyki jest prawdopodobnie fakt, że służy on praktycznym interesom niepopularnego reżimu, który potrzebuje dla swojej siły legitymizacji i konsolidacji. Socjologowie już od dawna wskazują, że poczucie jedności potęguje się w sytuacji zagrożenia zewnętrznego. Sandiniści posługują się widmem wojny, czy to w postaci rebelii *contrac*, czy domniemanej inwazji amerykańskiej, aby usprawiedliwić użycie środków nadzwyczajnych, mobilizację społeczeństwa, walkę ze zwolennikami innych poglądów, zawieszanie praw, oraz klęskę gospodarczą. Rząd sandinistowski, który nie nazywa siebie komunistycznym, ma kłopoty z legitymizacją stosowanych represji. Rzeczywisty wróg, którego należy zwalczyć, pomaga rozwiązać ten problem, pod warunkiem, że nie stanie się on zbyt silny.

Zdobywanie młodzieży jest cechą państwa wojującego. Potłowa społeczeństwa nikaraguańskiego to ludność poniżej dwudziestego roku życia. Ponieważ do prowadzenia wojny potrzeba młodych ludzi, reżim sandinistowski wykorzystuje stan wojenny nie tylko do mobilizacji, ale również do izolowania i szkolenia bojowego młodzieży. Żołnierze nikaraguańscy mają bardzo ograniczone możliwości kontaktów ze swoimi rodzinami; słuchanie audycji zagranicznych rozgłośni radiowych jest zabronione. Siłą usuwa się młode pokolenie spod wpływu rodziców i resocjalizuje w duchu nowych wartości rewolucyjnych.

Mnóstwo młodzieży opiera się tym wysiłkom - od 1979 roku Nikaraguę opuściło blisko 100.000 osób. Wielu jednak traktuje swoje wstąpienie do wojska jako wspaniałą możliwość zrzućcia tradycyjnej władzy rodziny i szkoły oraz wyzwolenia się od monotonii pracy na farmach i w fabrykach. Uważają, że takie życie daje im również wyższy stopień obyczajowej wolności i swobody. Społeczeństwo militarne akcentuje te wartości, z którymi często identyfikują się młodzi mężczyźni - siła fizyczna, wytrzymałość, zrzeczność, agresywność.

W służbie wojskowej pozostaje zawsze ponad 100.000 młodych Nikaraguańczyków, czyli w przybliżeniu 20% ludności w wieku produkcyjnym. Takie oderwanie od normalności nie tylko stwarza idealne warunki do resocjalizacji, lecz również redukuje szanse wzniesienia buntu - przewrotom zbrojnym przewodzą zazwyczaj młodzi ludzie. Daje to sandinistom także możliwość złagodzenia bezrobocia, którego stopień jest bardzo wysoki.

Nie ulega wątpliwości, że stan wojny i mobilizacja pociągają za sobą olbrzymie koszty. Paraliż o władną gospodarką, a niedobór żywności spowodował, że kartki żywnościowe stały się prawie bezużyteczne. Państwo nie może już dłużej zapewnić konsumentom należnych im przydziałów. Nędza ekonomiczna ma swój "pozytywny" aspekt. Poszukiwanie żywności na czarnym rynku jest tak czasochłonne, że Nikaraguańczycy nie mogą sobie pozwolić na luksus uczestnictwa w spotkaniach antyrządowych i działania w organizacjach. Wbrew niektórym obiegowym poglądom, powstania

i bunty nie dokonują się w społeczeństwach, które walczą o przetrwanie. Strajki mogą w końcu wybuchnąć, ale prawdopodobnie nie przerodzą się w jednomyślne wystąpienie.

Trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób sandiniści mogli-  
by zdemokratyzować obecną formę rządów bez narażania militaryzmu - nieodłącznego elementu ideologii, głęboko zakorzonego w ich psychice, nierozdzielnie związanego z ambicją przejęcia pełnej kontroli nad krajem. Wolna prasa i niezależne instytucje stanowią zagrożenie dla państwa militarystycznego. Sandiniści, na skutek wzrastającego nacisku, dopuścili do pewnej liberalizacji życia społecznego; zdając sobie sprawę, jaki wpływ na wynik wojny może mieć opinia międzynarodowa, poszli na ustępstwa. Nie wiadomo, w jaki sposób poradzą sobie z tym wyzwaniem bez naruszenia podwalin własnej doktryny. Wojownicze kraje nie są skłonne zamieniać mieczy na lemieszce.

---

HUMBERTO BELLI - do 1975 roku członek partii sandinistowskiej, a w latach 1980- 82 redaktor techniczny wychodzącej w Managui gazety "La Prensa", obecnie profesor nadzwyczajny Franciscan University w Steubenville na wydziale socjologii - jest autorem dwóch prac dotyczących historii rewolucji sandinistowskiej: "Christians under Fire" oraz "Breaking Faith". Artykuł ten pochodzi z referatu przedstawionego na konferencji Instytutu Badań Polityki Zagranicznej (Foreign Policy Research Institute), poświęconego możliwościom reform w krajach komunistycznych.

## KUŹNIA DOLINY CONTRAS

### Moje prywatne spojrzenie na kryzys w Nikaragui

Rewolucję sandinistowską roku 1979 obserwowałem z Waszyngtonu, gdzie pełniłem funkcję attaché wojskowego prezydenta Anastasio Somozy. Mimo iż byłem dumny ze swojej 27-letniej służby oficerskiej w Gwardii Narodowej, nie żałowałem porażki prezydenta Somozy. Prawdę mówiąc, jego odejście nastąpiło o rok za późno. Za panowania dynastii Somozów szerzył się nepotyzm i korupcja, na jakie Nikaragua niczym sobie nie zastrzyła.

W końcu lat 70-tych bałem się tylko jednego: że odejście Somozy utworzy drogę komunistom i że nie zdoła temu zapobiec ani umiarkowana opozycja, ani Stany Zjednoczone. Front sandinistowski przyciągnął wielu porządnym ludzi, wabiąc ich rzekomym pluralizmem i mnogością frakcji politycznych. Osobiście nie miałem wątpliwości, że przywódcy trzech głównych frakcji - grupa Przedłużonej Wojny, terceristas i Proletariusze - związani są mocno z obozem marksistowsko-leninowskim, utrzymują bliskie stosunki z Fidelem Castro i gotowi są w razie zwycięstwa uciec się do metod totalitarnych. Większość przywódców sandinistowskich szkoliła się na Kubie lub w innych krajach bloku komunistycznego, a prawie wszystkie dokumenty Sandinistów opublikowane w latach 60-tych i 70-tych świadczyły o skłonnościach marksistowsko-leninowskich.

W roku 1978, gdy gangi sandinistowskie, stosując taktykę zastraszania, konfiskowały po wsiach broń i zabierały pieniądze, byłem już do końca przekonany, że odejście Somozy jest nieuniknione i że komuniści będą chcieli zawłaszczyć rewolucję. Prezydent Somoza nie miał po prostu środków na walkę z powstaniem, hojnie sponsorowanym z Hawany: jego własne poparcie wewnętrzne i zewnętrzne malało w zastraszającym tempie. Spora część broni, którą Somoza otrzymał z zagranicy w ostatnim roku władzy, została mu dostarczona z zastrzeżeniem, że nie wolno mu jej użyć w kraju. Skutkiem tego, tysiące M-16 leżały odłogiem, podczas gdy Sandiniści szaleli po całym kraju. Po zdobyciu składów tej broni Sandiniści większość przekazali komunistycznym powstańcom w Salwadorze.

Patrząc wstecz na rewolucję sandinistowską trudno wąt-

pić, że wielką odpowiedzialność za obecną sytuację w Nikaragui ponosi administracja Cartera. Groliwość, z jaką administracja ta i ambasador Cartera w Nikaragui, Lawrence Pezzullo, okazali przy obalaniu rządu Somozy, nie znalazła sobie równej, gdy chodzi o zagwarantowanie demokracji po ucieczce prezydenta z kraju. Pozbywszy się Somozy, administracja Cartera okazała ślepe zaufanie grupie powszechnie znanych marksistów-leninistów, chociaż były inne opcje do wykorzystania.

#### Największy błąd Cartera

Największym błędem popełnionym przez administrację Cartera w ostatnich dniach Somozy było przyzwolenie na rozpad Nikaraguańskiej Gwardii Narodowej. Nikaraguańska Gwardia Narodowa nie była nigdy siłą wielką (w roku 1979 liczyła zaledwie 7 tysięcy członków), ale była siłą profesjonalną, nie podlegającą kontroli partii Somozy - a zatem jedyną siłą zdolną dopilnować, aby Sandiniści dotrzyмали obietnic o demokracji i pluralizmie politycznym, złożonych Organizacji Państw Amerykańskich. Tymczasem Sandiniści powołali własną milicję, kontrolowaną przez partię i zmonopolizowali siły zbrojne. Gdyby Gwardia Narodowa się nie rozpadła, Sandiniści nigdy nie zrealizowaliby swoich totalitarnych ambicji.

Do Gwardii Narodowej wstąpiłem w roku 1950, jako siedemnastoletni absolwent szkoły średniej. Gwardia Narodowa umożliwiła mi rozwinięcie umiejętności dowódczych i żołnierskich. Po dziś dzień jestem dumny, że do niej należałem. Przynależność do Gwardii była największą szansą dla każdego młodego Nikaraguańczyka. Jednak niektórzy członkowie Gwardii Narodowej stali bardzo blisko prezydenta Somozy, a byli i tacy, którzy wykorzystywali swoją pozycję dla zdobycia szczególnych przywilejów w interesach. W ostatnim roku rządów Somozy Gwardia Narodowa bombardowała na jego rozkaz tereny miejskie. Bombardowania te, którym głośno się sprzeciwiałem, przyniosły wiele ofiar wśród ludności cywilnej.

Nikaraguańska Gwardia Narodowa nie doczekała się sprawiedliwej oceny historycznej. Gwardia jaką znałem była organizacją skupiającą najlepszych i najinteligentniejszych synów Nikaragui. Korupcja, jeżeli się zdarzała, to sporadycznie. Gwardia Narodowa pełniła w Nikaragui funkcje policji, służby drogowej i armii.

Na jakieś dziesięć dni przed upadkiem Somozy niepokój związany z możliwością rozwiązania Gwardii Narodowej i konsekwencjami tego posunięcia kazał mi udać się samolotem do Managui w celu przedyskutowania przyszłości kraju z dużą grupą Nikaraguańczyków i ambasadorem Pezzullo. Stwierdziłem, że Nikaraguańscy są jednomyślni - nawet ci, którzy zaangażowali się w kampanię przeciwko Somozie - co do tego, że Gwardia Narodowa powinna być utrzymana po odejściu Somozy - aby chronić kraj przed polityką zastraszenia prowadzoną przez Sandinistów.

W Managui ostrzegłem ambasadora Pezzullo, że jeżeli administracja Cartera nie przyśle sygnału świadczącego o tym, że Stany Zjednoczone życzą sobie utrzymania Gwardii Narodowej, przeważająca większość gwardzistów ucieknie z kraju, umożliwiając Sandinistom przejęcie władzy. Chociaż Pezzullo i inni przedstawiciele amerykańscy zobowiązali się poprzeć Gwardię Narodową po odejściu Somozy, to jakoś nigdy tego poparcia nie okazali. W rezultacie, po zwycięstwie Sandinistów większa część członków

Gwardii Narodowej zbiegła z Nikaragui, Sandiniści natomiast objęli całkowitą kontrolę nad aparatem politycznym i wojskowym. Dziś sandinistowska organizacja militarna - EPS - jest lojalną wobec partii milicją, do której wcielono ponad 90 tysięcy młodych Nikaraguańczyków. Wielu z nich ma raptem dwanaście lat. Milicja, często zatrudniana w ochronie partii sandinistowskiej, jest najbardziej namacalną przeszkodą dla wprowadzenia demokracji w Nikaragui. Rozwiązanie Gwardii Narodowej i przejęcie władzy wojskowej przez Sandinistów oznaczało ostateczny triumf komunizmu w Nikaragui.

#### Apatia OPA

Ani Międzyamerykańska Rada Obrony, ani Organizacja Państw Amerykańskich nie potrafiły zmusić Sandinistów do dotrzymania obietnic złożonych tuż po rewolucji. Żadne z tych ciał nie potrafiło zapobiec szerzeniu się wpływów Kuby i Związku Radzieckiego w Nikaragui, jakkolwiek i OPA, i Międzyamerykańska Rada Obrony, opublikowały deklaracje sprzeciwu wobec ingerencji wspomnianych państw. Jedną z najważniejszych lekcji jakie wyniosłem z Waszyngtonu, jest ta, że w sprawach wolności i demokracji nie wolno polegać na organizacjach międzynarodowych. Organizacje te chętnie głoszą zasady nieinterwencji i pluralizmu, ale kiedy groźby się materializują, nie działają w myśl własnych deklaracji. Podczas rewolucji sandinistowskiej było powszechnie wiadome, że Kubańscy uzupełniają siły przeciwnych Somozie powstańców drogą przez Kostarykę - a mimo to OPA nigdy nie zabrała głosu na temat tak ewidentnej ingerencji zewnętrznej w sprawę Nikaragui. Dla większości Nikaraguańczyków, którzy nie godzą się z obecnością Sowietów i Kubańczyków w swoim kraju, Stany Zjednoczone były - i pozostają - jedyną nadzieją.

#### Legion 15 Września

Stosunek społeczeństwa do rodziny Somozów zmieniał się wielokrotnie w ciągu dziesięcioleci sprawowania przez nich rządów w Nikaragui. W ciągu ostatnich miesięcy panowania dynastii Somozów popularność prezydenta spadła drastycznie. Kiedy w lipcu 1979 do władzy doszli Sandiniści, Nikaragua i cały świat powitały ich z wielkim entuzjazmem - nie całkiem jednak wojnym od troski o dalsze losy kraju.

Latem roku 1980 zaniepokojenie było już dość powszechne. Junta rządząca wyjeżdżała na częste wycieczki do Moskwy i Hawany, oczyszczała rząd z nie-marksistów i zabierała się do przykręcania śruby opozycji. Nie mający precedensu w historii naszego narodu aparat bezpieczeństwa wewnętrznego formował się za radą i poparciem NRD.

W roku 1979, kiedy słowo "Sandinista" oznaczało tych, którzy sprzeciwiają się dynastii Somozy i opowiadają się za niepodległością i demokracją, większość Nikaraguańczyków podawała się za Sandinistów. Jednak już w roku 1980, kiedy rząd zaczął zmieniać definicję "Sandinisty", mówiąc, że Sandinistami są marksiści-leniniści, mający w dodatku "internacjonalistyczny obowiązek" szerzenia wpływów sowieckich i kubańskich na naszej półkuli - większość Nikaraguańczyków przestała się nazywać Sandinistami. Właśnie w tym okresie zacząłem czynnie występować przeciwko sandinistowskiemu dyktatorom.

Mieszkałem jeszcze wówczas w Waszyngtonie, ale na Miami

grupa nikaraguańskich uchodźców zaczynała organizować ruch opozycyjny łączący siły zarówno militarne, jak i polityczne, przeciwko komunistycznemu rządowi. Przyjaciele, a wśród nich Carlos García, przewodniczący Nikaraguańskiego Narodowego Związku Baseballowego, który w Nikaragui był więziony z powodu pokrewieństwa z mną, zwrócili się do mnie z prośbą, abym został koordynatorem grupy. Wiedziałem, że bardzo trudno będzie zorganizować ruch oporu, gdyż rzekome osiągnięcia rewolucji sandinistowskiej nadal budzą wiele sympatii, ale wiedziałem również, że ostatnie akcje Sandinistów potwierdzają moje wcześniejsze przypuszczenie: że Sandiniści nie są zainteresowani demokratyzacją kraju. Uznałem, że należy przystąpić do działania.

W sierpniu 1980 roku przeniostałem się na Miami, aby być bliżej społeczności nikaraguańskich uchodźców. Tam nawiązałem kontakty z czołowymi oponentami reżimu sandinistowskiego, w tym z Jorgem Salazarem, słynnym przywódcą rolników z prowincji Matagalpa, a także z Jose Francisco Cardenalem - byłem przewodniczącym Izby Budowlanej. Założyliśmy Legion 15 Września - antysandinistowską grupę wojskowo-polityczną, której nazwa bierze się z daty wyzwolenia Ameryki Środkowej spod władzy Hiszpanii. Około maja nasz ruch zaczął rosnąć w siłę, w miarę jak coraz więcej Nikaraguańczyków rozczarowywało się do rządów Sandinistów. Wielu wyrażało gotowość walki z bronią w rękę.

Od samego początku były wśród nas rozbieżności dotyczące filozofii politycznej i strategii walki z tyranią Sandinistów. Uparcie twierdziłem, że nasz ruch musi być ruchem pluralistycznym. Dlatego zwerbowałem do nas Adolfo Calero, sekretarza Partii Konserwatywnej i inne osobistości polityczne.

Dzisiaj nikaraguański ruch oporu jest organizacją wyjątkowo zróżnicowaną i elastyczną w działaniu. Nauczyłem się współdziałać z ludźmi o rozmaitych poglądach. Łączy nas bowiem jeden wspólny cel: wyzwolenie ojczyzny spod rządów totalitarnych i obcych wpływów.

### Zamorodowanie Salazara

W listopadzie 1980 roku Jorge Salazar, którego nazywaliśmy Thomasem Jeffersonem naszego ruchu, został brutalnie zamordowany przez Sandinistów na stacji benzynowej pod Managuą. Mimo, że Salazar nie angażował się w akcje militarne przeciwko Sandinistom, rząd komunistyczny był od dawna zaniepokojony jego niezmierną popularnością wśród ludności wiejskiej: uważali go za zagrożenie dla swojej totalitarnej władzy. W ciągu ostatnich dziesięciu lat miewałem do czynienia z wieloma dziełnymi Nikaraguańczykami, ale niewielu z nich dorównywało energią i odwagą Jorge'owi Salazarowi. Przemawiając, potrafił on natchnąć słuchaczy entuzjazmem i pewnością celu, jakim jest wolność. Zamordowanie Salazara spowodowało masowy napływ Nikaraguańczyków do ruchu antysandinistowskiego, a tych, którzy już z nim działali, zmobilizowało do większego wysiłku. Po morderstwie w Nikaragui pojawiły się plakaty z podobizną Salazara i cytatem z jego przemówienia, wygłoszonego w obecności Daniela Ortegi, które zaczynało się od słów: "My ani nie wyjedziemy do Miami, ani się nie poddamy". Po dziś dzień uważam te słowa za motto naszych działań.

W końcu lat 80-tych, po zamachu na prezydenta Somozę w

Asunción, Legion 15 Września otrzymał pomoc od rządu Argentyny, który zaniepokoił się rozwojem sytuacji w Nikaragui, gdy argentyńscy powstańcy komunistyczni - Montoneros - zaczęli używać Managui jako siedziby głównego dowództwa. Chociaż "wieść gminna" niosła, że nasz ruch był początkowo wspierany przez rząd USA, to podkreślam, że właśnie Argentyna udzieliła nam pomocy koniecznej do rozpoczęcia walki zbrojnej przeciwko Sandinistom. Pomoc ze Stanów Zjednoczonych uzyskaliśmy dopiero w roku 1982 i od początku historii naszego ruchu do chwili obecnej suma tej pomocy stanowi niespełna 110 milionów dolarów. Pomoc Kongresu dla Sandinistów po rewolucji wyniosła 118 milionów dolarów.

W sierpniu 1981, przy współpracy dwóch uchodźców nikaraguańskich, Raula Arana i Orlando Bolanosa, przekształciliśmy Legion 15 Września w Nikaraguańskie Siły Demokratyczne (FDN), a nasza organizacja, uwikłana przedtem w ograniczone i często chaotyczne działania zbrojne w Nikaragui, uczyniła zbrojny wysiłek, aby przedstawić się jako front polityczny w Stanach Zjednoczonych. Zorganizowaliśmy komisje polityczne w Miami, w Waszyngtonie, w Los Angeles i innych miastach amerykańskich. Rozpoczęliśmy też szkolenie oddziałów partyzanckich do pierwszej wielkiej ofensywy na terenie Nikaragui.

#### Bojownicy campesino

14 marca 1982 roku nikaraguańskie siły ruchu oporu oddały swój "strzał", który rozniósł się echem po całym świecie" - wzorem ataku "minutmenów" w Rewolucji Amerykańskiej. Nasze ataki w Nueva Segovia zakończyły się wielkim sukcesem. Zniszczyliśmy mosty na rzekach Negro i Coco. Było to zarazem oficjalne ogłoszenie wojny przeciwko rządowi coraz powszechniej uważanemu za nielegalny, brutalny reżim. Sandiniści natychmiast wprowadzili stan wyjątkowy demonstrując w ten sposób wielu Nikaraguańczykom, że nie są niewrażliwi na ciosy. Po tych atakach Nikaraguańczycy i opinia światowa zaczęli traktować nasz ruch poważnie. Od rządu komunistycznego otrzymaliśmy nową nazwę - *contras*.

Od 1982 r. nasz ruch był oczywiście rewolucyjny, a nie kontrrewolucyjny. Nasze siły tworzą głównie *campesinos*, którzy chwycili za broń, doświadczwszy prześladowań religijnych, ekonomicznych i politycznych ze strony nielegalnego, represyjnego rządu. Przyczyny naszej walki są częściowo zbieżne z przyczynami, dla których amerykańscy "minutmeni" chwycili za broń przeciwko Anglikom - z tym, że prześladowania, jakie miały miejsce w Nikaragui są daleko straszniejsze niż wszystko, co działo się w amerykańskich koloniach w latach 1770-tych. Wielu Nikaraguańczyków, którzy byli więzieni za przekonania polityczne i religijne twierdzi, że warunki w więzieniu są jeszcze gorsze niż obraz więzienia na Kubie przedstawiony przez Armando Valladareasa. Ponad 400 tysięcy Nikaraguańczyków zbiegło za granicę przed tyranią Sandinistów.

Nasi bojownicy wierzą w wolność i prawie wszyscy twierdzą, że konfrontacja militarna jest jedynym wyjściem, jakie nam pozostało. Są to najlepsi synowie narodu nikaraguańskiego: gęsboko religijni, z ustalonym systemem wartości. Troszczą się o losy kraju i szanują swój naród. Walczą, gdyż reżim sandinistowski - reżim totalitarny - zmusił ich do walki.

Na ironię zakrawa fakt, że nasze oddziały składają się



przede wszystkim z ludzi, którzy mieli najwięcej zyskać na rewolucji. Wbrew obietnicom, życie przeciętnego nikaraguańskiego campesino jest dziś o wiele trudniejsze niż w czasach Somozy. Sandiniści zmusili wielu campesinos do kolektywizmu i oddawania całej produkcji państwu, w zamian za kartki żywnościowe, warte znacznie mniej niż oddawane produkty. Tysiącom drobnych rolników odebrano ziemię. Przede wszystkim jednak, każdy campesino czuje wokół siebie atmosferę totalitaryzmu, która paraliżuje wszelką indywidualną inicjatywę i łączy się z prześladowaniami religijnymi. Bezustannie pozostaje on w zasięgu obserwacji najsprawniejszego narzędzia przystępu Sandinistów: lokalnych blok-komendantów, odpowiedników wzorowanej na gestapo "policji myśli". Wszystko to razem sprawiło, że campesinos gardzą rządem sandinistowskim i tysiące z nich przystąpiło do naszego ruchu.

### Chwiejna postawa Amerykanów

Ponieważ pomoc sowiecka dla rządu Sandinistów wzrosła gwałtownie w początkach lat 80-tych - dziś wynosi ponad miliard dolarów rocznie - stało się dla mnie jasne, że bez pomocy Stanów Zjednoczonych nie możemy żywić nadziei na zwycięstwo. Otrzymaliśmy co prawda, pomoc od osób prywatnych sprzyjających sprawie wolności Nikaragui - a także od rządu Argentyny, ale pomoc ta nie była wystarczająca dla prowadzenia wojny z milicją sandinistowską - największą w historii Ameryki Środkowej - hojnie wspomaganą przez Moskwę i Hawanę.

Często żałowałem, że musimy prosić Waszyngton o pomoc. Szanują Stany Zjednoczone, ale nie sprawdziły się one jako sojusznik w walce o wolność. Gdyby Stany Zjednoczone konsekwentnie popierały nasz ruch od początku, myślę, że Nikaragua byłaby dzisiaj wolnym krajem.

Popieramy ustrój demokratyczny Stanów Zjednoczonych i zaierzamy wzorować się na nim po zwycięstwie nad Sandinistami. Jednak od kilkadziesiątu lat cała Ameryka Łacińska patrzy, jak Stany Zjednoczone lekceważą obowiązek gwarantowania wolności wolnym ludom i pomagania w zwycięstwie tym, którzy walczą o wolność. Taki obowiązek spełnić mogą jedynie Stany Zjednoczone, a jeżeli się z niego nie wywiązują - do akcji skwapliwie wkraczają Sowietci i państwa ich obozu.

Nasi żołnierze znają historię Zatoki Świń, kiedy Prezydent Kennedy złamał obietnicę zapewnienia ostony powietrznej kubańskim bojownikom o wolność. W wyniku zdrady Kennedy'ego tysiące kubańskich patriotów zginęło bez możliwości obrony w bagnach, ostrzeliwanych przez artylerię Castro. Z najnowszych dociekań historycznych dowiadujemy się, że podczas gdy Brygada 2506 była masakrowana przez wspieraną przez Sowietów milicję kubańską, prezydent Kennedy spokojnie grał w golfa. Narody Kuby, Angoli i Nikaragui do dziś słono płacą za taką zdradę.

Sowieciom opłacało się transportować broń na drugi koniec świata, żeby przebić Stany Zjednoczone pod względem wartości pomocy wojskowej dla Nikaragui w stosunku 30:1. Jest to przezwaga niebywała; nie potrafię zrozumieć, dlaczego Stany Zjednoczone godzą się z taką sytuacją na swojej półkuli. Nawet lawinowe zwycięstwo Ronalda Reagana w roku 1984 i demaskatorskie zeznania pułkownika Northa nie stały się dla Białego Domu okazją do wszczęcia głośnej kampanii, która by dowiodła, że Kon-

gres usłyszał prawdę o Nikaragui. Przy stałym poparciu ze strony USA można by pozbyć się Sowietów i Kubańczyków z kontynentu północnoamerykańskiego i przywrócić wolność Nikaragui. Bez pomocy USA, demokracja w Ameryce Środkowej dobiegłaby niedługo końca, a same Stany Zjednoczone staną wobec zagrożenia, jakiego nie znała ich historia.

### Drobiazgowa kontrola USA

Obok braku wiarygodności, dotkliwym problemem była i jest drobiazgowa kontrola naszych posunięć przez Stany Zjednoczone. W ten sposób nie da się prowadzić wojny. Chociaż wielu członków amerykańskiej służby bezpieczeństwa ma za sobą doświadczenia koreańskie i wietnamskie, to zapominają oni, że wojna nikaraguańska różni się znacznie od obu tamtych konfliktów. Amerykańscy doradcy często ignorowali nasze potrzeby i prośby. Będąc dowódcą, rzadko miewałem możliwość podejmowania takich decyzji wojskowych jakie uważałem za najlepsze służące naszym interesom.

Podam jeden przykład - na pozór trywialny, ale ilustrujący szerszy problem. Gdy nasze siły walczą w głębi kraju, na ogół zaopatrujemy ich w żywność naa bieżąco - czynimy to tylko w nagłych wypadkach, gdyż stałe zaopatrywanie wojska jest zbyt kosztowne i niebezpieczne. Przekonaliśmy się, że najlepszą formą zaopatrzenia naszych oddziałów w żywność jest przydział bydła, które walczący zabierają z sobą w głąb kraju. Tam w miarę potrzeby dokonują uboju i mogą wyżywić stu żołnierzy na raz. Kiedy poinformowałem przedstawiciela administracji USA, że potrzebne nam będą pieniądze na zakup bydła dla żołnierzy, był zaskokowany. "Jak to?", dziwił się, "Siły partyzanckie maszerują prowadząc za sobą żywe bydło?" "Tak jest", potwierdziłem. "Taką właśnie przyjęliśmy metodę".

Kontrola Waszyngtonu okazała się szczególnie zębna w skutkach, kiedy tamtejsi biurokraci próbowali nam wybierać przywódców. Liderzy naszego ruchu wyłoniłiby się sami, gdyby im tylko dano po temu sposobność - co też miało miejsce na polu walki, gdzie wielu naszych dowódców wojskowych wykazało się sprawnością i męstwem: to właśnie oni mianowani zostali przywódcami ruchu. Z pewnością w ten sam sposób wyłoniłby się dyrektoriat.

Niestety, rząd Stanów Zjednoczonych, chcąc atrakcyjnie przedstawić naszą sprawę w Waszyngtonie, a zarazem uzyskać bezpośredni wpływ na naszą organizację, wybierał postacie o ograniczonym, często zerowym doświadczeniu i mianował je na najbardziej odpowiedzialne stanowiska. Edgar Chamorro wybrany został ze względu na znaczenie jego nazwiska w Nikaragui; Alfonso Robelo - głównie z uwagi na dawne powiązania z Sandinistami; Arturo Cruz - gdyż jego nazwisko było dobrze znane w Waszyngtonie. Właściwie całe przywództwo Zjednoczonej Opozycji Nikaraguańskiej (UNO) - z małymi wyjątkami - wybrane zostało przez Stany Zjednoczone.

Kiedy ludzie ci zorientowali się, że prowadzenie wojny to praca na 24 godziny dziennie, siedem dni w tygodniu - wielu z nich wycofało się z ruchu, co bardzo popsło nam opinię, obniżyło morale naszych żołnierzy, a w dyrektoracie pozostawiło luki. Ci, którzy odeszli, byli szczerymi przeciwnikami dyktatury sandinistowskiej, a jednak nie mieli ochoty angażować się w trwającą dzień i noc wojnę z wrogiem wspieranym przez obce mocarstwa. Jeden po drugim odchodzili na lukratywne pozycje w

sektorze prywatnym, zapominając po drodze o sprawie wojności Nikaragui.

#### Piricuacos w odwrocie

W roku 1986 Kongres przyznał nam 100 milionów dolarów; osiągnęliśmy wówczas szczyt naszych możliwości bojowych. Choć pod względem uzbrojenia dominowali nad nami wspierani przez Sowiety piricuacos (którym to terminem - "parszywe psy" - określamy Sandinistów), determinacja naszych Oofnierzery w połączeniu z ogromną pomocą, jakiej nam udzielali Nikaraguańczycy, odwróciła losy wojny na naszą korzyść. W ciągu kilku miesięcy siły nasze opanowały bazy militarne Sandinistów i zniszczyły wiele obiektów rządowych o znaczeniu militarnym. W roku 1987 dokonywaliśmy co najmniej jednej operacji zaopatrzeniowej dziennie. Tylko w pierwszym półroczu 1987 stoczyliśmy 1360 walk z Sandinistami, zniszczyliśmy 55 posterunków wojskowych i tymczasowych baz armii sandinistowskiej, 15 mostów i 83 ciężarówki wojskowe. Ponadto, zestrzeliliśmy pięć sowieckich helikopterów.

Jednym z naszych największych sukcesów była ofensywa wzdłuż drogi Rama, przeprowadzona 15 października 1987. Połączony brygady im. Jorge Salazara Nr 1 i Jorge Salazara Nr 3, zniszczyliśmy kilka sandinistowskich garnizonów. Zaatakowaliśmy też miasta San Tomas i San Pedro w Sontales, wysadziliśmy most Muelle i zestrzeliliśmy atakujący helikopter sowiecki.

W grudniu 1987 przeprowadziliśmy następny niezmiernie udany atak na kopalnię złota w Zelaya, w środkowej Nikaragui. Podczas tej ofensywy zajęliśmy szereg obiektów wojskowych, zdobyliśmy 27 wyrzutni rakietowych SA-7 i zniszczyliśmy kilka wozów, mostów oraz helikopterów.

Nasze sukcesy bojowe, w połączeniu z malejącym poparciem społeczeństwa dla Sandinistów, postawiły rząd w wielce niebezpiecznym położeniu. Nie wątpię, że właśnie to ścignęło ich do stołu negocjacyjnego - po raz pierwszy od powstania naszego ruchu. Od samego początku konfliktu oświadczaliśmy, że w każdej chwili gotowi jesteśmy przystąpić do negocjacji z Sandinistami na temat wolności Nikaragui, godząc się na zawieszenie broni z chwilą wprowadzenia w życie obiecanych swobód - jednak Sandiniści nigdy nie liczyli się z naszym głosem.

Szkoda, że Kongres USA nie potrafił zrozumieć, że to właśnie pomoc militarna dostarczona nam w 1986 roku zmusiła Sandinistów do podjęcia dyskusji o demokratyzacji i że dalsza pomoc przyniosłaby postępy. Ponieważ Kongres zaprzestał udzielania nam pomocy wojskowej, Sandiniści natychmiast powrócili do wykrętów w negocjacjach i metod totalitarnych w codziennej praktyce.

Nieszczęściem jest także i to, że wielu członków Kongresu nie do końca rozumie charakter naszego konfliktu. Twierdzą oni, że nie odnosimy sukcesów, ponieważ nie potrafimy utrzymać swoich pozycji w Nikaragui, albo zanadto polegamy na obcej pomocy finansowej. Utrzymywanie statych pozycji nigdy nie było naszą strategią. Dopóki Sandiniści dysponują sowieckimi helikopterami MI-24, taka strategia byłaby zgubna dla armii powstańczej. A na pomocy z zewnątrz polegamy dlatego, że w Nikaragui praktycznie nie da się kupić tego, czego nam potrzeba. Rząd kontroluje całe zapasy - dlatego buty, mundury, żywność i leki musimy zdobywać za granicą. Nasza sytuacja jest całkiem odmien-

na od sytuacji, w jakiej działają komunistyczni powstańcy w Sałwadorze - gdzie wszelkie towary są nie tylko ogólnie dostępne w całym kraju, ale gdzie powstańcy otrzymują rabat, jeżeli kupują hurtem.

Reagan-Wright tak, Arias-Wright nie

W roku 1987, kiedy Ronald Reagan i Jim Wright ogłosili plan Reagana-Wrighta w sprawie Nikaragui, wiązałem w tym jak najlepsze nadzieje. Plan przewidywał naciski na Sandinistów, mające ich zmusić do wszczęcia procesu demokratyzacji. Plan precyzował z całą jasnością, co Sandiniści powinni uczynić - przede wszystkim dotrzymać zobowiązań wobec Organizacji Państw Amerykańskich z roku 1979 - i ostrzegał przed konsekwencjami nie dotrzymania zawartych w porozumieniu obietnic demokratyzacji. Plan Reagana-Wrighta przestraszył Sandinistów, których celem zawsze było rozbrojenie naszego ruchu w zamian za garść obietnic, które następnie by złamali. Nigdy nie przystaliby na plan Reagana-Wrighta, który wymagał, aby na początek zrezygnowali ze swego nielegalnego, totalitarnego systemu - toteż wystąpili z własnym, korzystniejszym dla siebie planem.

W kilka dni po ogłoszeniu planu Reagana-Wrighta i po dyskusji na wysokim szczeblu, w której uczestniczyli Sandiniści, prezydenci Ameryki Środkowej i członkowie Kongresu, spiker Wright wycofał swoje poparcie dla planu Reagan-Wright i poparł nowy plan, wysunięty przez prezydenta Kostaryki, Oscara Ariasa. Moim zdaniem, dopuszczenie do upadku planu Reagana-Wrighta było najpoważniejszym błędem dyplomatycznym USA od roku 1979. Plan Ariasa był znacznie słabszy niż plan Reagana-Wrighta: przewidywał równie wielkie naciski na Waszyngton i Tegucigalpę, co na Managuę. Ogólnie rzecz biorąc, żądał naszej bezwarunkowej kapitulacji w zamian za obietnicę przyszłej demokratyzacji Nikaragui. Plan ten zyskał szerokie poparcie w Waszyngtonie i na całym świecie, gdyż reklamowano go jako międzynarodową receptę na problemy Ameryki Środkowej. Opierał się on na podstawowym błędzie logicznym: na założeniu, że Sandiniści, osiągnąwszy swój cel, którym było rozbrojenie naszego ruchu i pozbawienie go funduszy, przystąpią następnie do demokratyzacji Nikaragui.

Dzisiaj nie mam powodu wierzyć, że Sandiniści kiedykolwiek dotrzymają umów gwarantujących naszemu krajowi pokój i wolność. Jestem natomiast przekonany, że Sandiniści zawsze skorzystają z negocjacji dla wzmocnienia własnej władzy i pozbawienia życia tysięcy Nikaraguańczyków, którzy przeciwko nim chwycili za broń. Kongres zmusił nas do podjęcia tej niebezpiecznej gry z Sandinistami, ale ja osobiście złożyłem ślubowanie, że nie złożymy broni, aż Nikaragua będzie wolna. Możemy negocjować w sprawie krótkoterminowych rozejmów i innych drobnych ustępstw, ale nie rozbroimy się w zamian za obietnice. Dwulicowość Sandinistów nie uczy nas ufności. Rozbrojenie teraz, gdy totalitaryzm szaleje w Nikaragui jak nigdy dotąd, byłoby zdradą wobec tych wszystkich Nikaraguańczyków, którzy walczyli i poiegli za wolną Nikaraguę.

Tak jak podejrzewałem, Sandiniści nigdy nie zrealizowali planu Ariasa. W styczniu 1988 roku, kiedy stało się to dla wszystkich jasne, prezydenci Ameryki Środkowej obwieścili upadek planu. Rok 1988 przyniósł bezpośrednie negocjacje naszych sił z przedstawicielami rządzącej junty sandinistowskiej w Sa-

poa i Managui. W przeciwieństwie do sytuacji z roku 1987, Kongres postawił nas tym razem w wyjątkowo trudniejszej sytuacji, skłaniając do przyjęcia rozejmu. Sandiniści wykorzystali ów rozejm dla odbudowy swojej infrastruktury militarnej, przy jednoczesnej wyjątkowo ofensywnej kampanii propagandowej, mającej osłabić morale naszych żołnierzy. Odkąd Kongres odmówił nam pomocy, Sandiniści stali się bardzo agresywni i bezczelni, czego dowodem było odrzucenie mediacji arcybiskupa Obando y Bravo, kiedy rozmowy szły nie po myśli Sandinistów. Przypuścili atak na opozycję w kraju, ograniczyli wolność prasy, torturują więźniów politycznych i więźniów sumienia.

Kiedy Stany Zjednoczone z uśmiechem powtarzają za Jimem Wrightem - "Dajmy szansę pokojowi", Sandiniści otrzymują większą niż kiedykolwiek pomoc wojskową od Sowietów, która pozwala im na wzmocnienie władzy nad społeczeństwem nikaraguańskim i na snuć planów opanowania Ameryki Środkowej. Sandiniści zrobiłi durnia ze Stanów Zjednoczonych. Wolność Nikaragui jeszcze nigdy nie była tak dalece zagrożona jak teraz, a większą część winy za to ponoszą Stany Zjednoczone. Łagodność Waszyngtonu doprowadziła do tego, że naród nikaraguański zmuszony jest żyć pod rządami totalitarnego reżimu, którego ani Jim Wright, ani jego liberalni koledzy z Kongresu nie tolerowaliby nawet przez pięć minut.

Mimo wszystko twierdzę, że nasz ruch bynajmniej się nie kończy. Popiera nas większość społeczeństwa Nikaragui. Kiedy odwiedzamy wsie, ludzie życzą nam, żebyśmy się nie poddawali. Trudno znaleźć w Nikaragui człowieka popierającego dyktatora Sandinistów, jest za to wielu ludzi żywiących nadzieję, że USA przystąpią wreszcie do zdecydowanej akcji wojskowej przeciwko obecnemu rządowi. Odwiedzając ostatnio Managuę, członkowie naszego dyrektoriatu spotkali się z matkami więźniów politycznych, które ich błagały: "Nie składajcie broni. Jeżeli to zrobicie -z nami koniec".

Nasze oddziały się nie poddadzą. Dzisiaj liczymy trzy razy tyle ludzi co tzw. armia ludowa, która w roku 1979 obaliła Anastasia Somozę. Jesteśmy największą siłą powstańczą w Ameryce Łacińskiej od czasów Rewolucji Meksykańskiej. Stoimy wobec przyszłości pozornie nie do pokonania, ale pamiętamy historię biblijnego Dawida, a postawa takich ludzi jak Jorge Sifazar jest silnie obecna w społeczeństwie nikaraguańskim.

---

ENRIQUE BERMUDEZ jest dowódcą wojskowym Nikaraguańskich Sił Oporu.

CONTRAS - UTRACONA SZANSA NA ZWYCIĘSTWO

Jak polityka Stanów Zjednoczonych  
zamieniła zwycięstwo "contras" w porażkę

Na początku 1988 roku w Nikaragui można było dostrzec oznaki zbliżającego się wybuchu. Osobiście jestem przekonany, że gdyby "contras" otrzymywali pomoc wojskową od Stanów Zjednoczonych jeszcze przez dwa lata, to rozkład władzy w Nikaragui byłby nieuchronny. Front Sandino byłby zmuszony szukać pokoju na warunkach oznaczających koniec jednopartyjnego, wojskowego państwa. W przeciwnym razie musiałby się liczyć z utratą wszelkiego znaczenia. Dowieść tego jest oczywiście trudno - w Nikaragui nie przeprowadza się sondaży opinii publicznej, wśród ugrupowań opozycyjnych nie ma tam organizacji na miarę polskiej "Solidarności", która by również przyciągała uwagę opinii międzynarodowej. Z pewnością wielu znających Nikaraguę Amerykanów miałoby zdecydowanie różny od mojego pogląd na sprawę. Niektórzy nadal są pewni, że gdyby jutro odbyły się tam wolne wybory, sandiniści by je wygrali.

Nie pamięta się, jak silną wydawała się być pozycja Anastasio Somozy na dwa lata przed wybuchem rewolucji. W 1977 roku był on w stanie zapełnić managuański Plac Republiki dziesiątkami tysięcy entuzjastycznych z pozoru zwolenników - więcej niż potrafią sandiniści. Z całej Ameryki Środkowej właśnie Nikaragua miała najlepszą kadrę wykształconych menadżerów i technokratów. Standard życiowy podniósł się znacząco w czasie życia jednego pokolenia, prawa pracownicze były względnie postępowe i nawet robotnicy rolni mogli pozwolić sobie na posiadanie tranzystorowych aparatów radiowych. Prawdą jest oczywiście, że Somoza miał wiele, psujących mu dobre samopoczucie, problemów. Arcybiskup Obando y Bravo, oskarżony o komunizm przez szefa policji, ogłaszał potępiające Somozę i jego rządy listy pasterkie. Pedro Joaquin Chamorro publikował sżniste artykuły antyrządowe na łamach będącej własnością jego rodziny gazety "La Prensa". Urzędujący za prezydentury Jimmy'ego Cartera amerykański ambasador w Nikaragui, Mauricio Solaun, przekazywał ostre

w tonie dokumenty o łamaniu praw człowieka. Najmniejszym spośród kłopotów Somozy wydawała się być banda studenckich ekstremistów, mających koneksje z granadyjską arystokracją, nazywającą siebie sandinistami. Ich wódz zginął w 1976 roku; zwalczające się frakcje oskarżały się o "awanturnictwo polityczne" i "odchylenia burżuazyjne". Na pewno nie sprawiali wrażenia niebezpiecznych. Wniosek jest prosty: oznaki zbliżającego się wybuchu nie są łatwe do rozpoznania. Niektórzy ludzie nie zauważają ich nigdy. Gdy jednostki Gwardii Narodowej uciekały do Salwadoru w 1979 roku, Jim Wright (polityk z Partii Demokratycznej, przewodniczący - "Speaker" - Kongresu Stanów Zjednoczonych) wciąż jeszcze stawał na Somoze i wciąż dziwił się, że wszyscy obracają się przeciw oddanemu aliantowi Stanów Zjednoczonych.

Ocena nastrojów w Nikaragui jest trudna. Ludzie często nie chcą rozmawiać, zwłaszcza z obcokrajowcami, których określają mianem "sandalistów" - od rodzaju obuwia noszonego przez cudzoziemców (i w nawiązaniu do spotykanego wśród nich pozytywnego nastawienia do reżimu). Można wszakże ludziom rozwiązać języki, jeśli jest się samemu, bez tłumacza i bez wypisanego na twarzy sympatii dla sandinistów. Wszystko, co trzeba zrobić, to wyjechać z Managui samochodem np. drogą wylotową na południe - można tam zawsze ujrzeć kilkadziesiąt, nawet stu ludzi próbujących złapać "okazję". Przejeżdżają tamtędy w połowie pustej "łady" i terenowe "Toyoty", wiozące "aparaczków" partyjnych. Zatrzymują się z rzadka. Co jakiś czas przejeżdżają autobusy. One również zazwyczaj nie zatrzymują się - są bowiem doładnie zapchane. Jeśli więc zatrzymasz się, ludzie ci rzucają się jak zwierzęta, wskazując do twego samochodu ze wszystkich stron, aż krzykniesz: "basta ya" i beziitośnie zostawisz tych mniej szybkich na zakurzonej drodze.

Zazwyczaj najpierw pytam o przydziały ryżu. Temat ten zawsze wywołuje furję u ludzi, którzy od pokoleń jedli ryż i fasolę dwa razy dziennie. Przed rewolucją Nikaragua była eksporterem ryżu. Już nie jest. Teraz importuje duże ilości z Bułgarii i Związku Sowieckiego; mimo to wciąż występują olbrzymie niedobory. Sandiniści ustaili miesięczny przydział dwóch kilogramów ryżu na osobę. W praktyce jest to od pół do jednego kilograma. "To nie starcza na tydzień" - krzyczy kobieta z tyłu samochodu - "i dlaczego nie ma mleka? Trzy godziny musimy czekać w stołcu po mleko dla dzieci, a potem mówią, że już nie ma". Następnie przychodzi fala wyrzekań na wszystko. Nie chcąc utracić wiarygodności nie przytoczę tu niektórych z niesamowitych stwierdzeń, jakie miałem okazję usłyszeć (gdy kiedyś zacytowałem Nikaraguańczyków mówiących z nadzieją o inwazji amerykańskiej, zostałem na piśmie posądzony przez redaktora "Private Eye" o zmyślanie).

Niedobory żywności stały się poważne na początku 1988 roku. Stary, wychudzony wieśniak z okolic Rivas opowiadał mi, że jego spółdzielnia skróciła czas pracy do dwóch-trzech godzin dziennie. "O dziesiątej rano nie możemy po prostu dużej pracować, jesteśmy zbyt słabi z głodu". Patrząc jednak całościowo, niewiele Nikaraguańczyków głoduje. Można przyjąć, że dostawy żywności są podobne do tych, jakie mieli Brytyjczycy w czasie drugiej wojny światowej. Ci ostatni byli jednak duchowo przygotowani na niedostatki. W Nikaragui nie ma natomiast poczucia

wspólnego celu, czyniącego takie poświęcenia możliwymi do zniesienia. Nawet gdyby ludzie wierzyli, że przyczyną ich kłopotów jest imperializm amerykański (w co większość już nie wierzy), nie sposób jest wzbudzić w nich patriotycznego entuzjazmu w sytuacji, gdy to co jest, jest tak nierówno dzielone.

W Nikaragui jest najbardziej regresywny system płac, jaki zdarzyło mi się spotkać. Nierówności w Hondurasie są ponure, tu zaś są groteskowe. Nie jest to efekt zamierzonego działania. Jest to efekt hiperinflacji w gospodarce utrzymującej stałe kursy walut. Pamiętam, że na początku 1984 roku można było zjeść śniadanie płacąc czerwonym pięćdziesięciokordobowym banknotem. W styczniu 1988 roku zaskoczył mnie widok tych samych banknotów w obiegu, lecz z "50000" niezdarnie nadrukowanym na starym "50". Inflacja sięgała 2000 procent, niemniej jednak sandiniści nadal utrzymywali oficjalny kurs 70 kordobów za dolara, z olbrzymim wachlarzem różnych kursów stosowanych przy różnych okazjach. Tymczasem na czarnym rynku, bezwzględnie podążającym za drukarkami w centralnym banku, za dolara można było dostać 50000 kordobów. W lutym wprowadzono, w ramach surowego programu oszczędnościowego, nową walutę - nie zmniejszyło to jednak w ogóle podstawowych niezgodności.

Efektom tego wszystkiego jest dwuwalutowa gospodarka, w której posiadacz dolarów jest bogaczem. Sandiniści są dolarowymi królami, jako że trzymają w rękach monopol na eksport. Muszą się jednak trochę dolarami dzielić, by podtrzymać przy życiu system oparty na bezwartościowych kordobach. Dolarowe zachęty otrzymują plantatorzy kawy i bawełny. Partyjni służbiści dostają premie w bonach, za które można kupować w sklepach dolarowych. Rządowi ekonomiści, inżynierowie i technicy dostają premie w dolarach, warte więcej niż ich uposażenia. (Nie wystarczające jednak, by powstrzymać masowy odpływ za granicę co bardziej wykształconych Nikaraguańczyków. Wystarczy zadzwonić do Nikaragui by się przekonać, że mało która telefonistka w centrali międzynarodowej mówi po angielsku. Ludzie znający języki obce wyjechali już na "zielone" pastwiska Florydy).

Poza tym jest jeszcze warstwa Nikaraguańczyków nie posiadających wprawdzie dolarów, jednak dla dolarowej elity pracujących i zarabiających tyle, że odzwierciedla to kurs czarnorinkowy. Dobrzy mechanicy i hydraulicy, na przykład, mogą zarabiać fortuny. Bywają oni gośćmi "La Marseillaise", francuskiej restauracji w Managui, spożywając tam posiłki w rodzinnym gronie i bez mrugnienia okiem płacąc górami kordobów, zostawiając je na stole w odmierzanym "na wagę" powiązanych gumką paczkach. "La Marseillaise" dobudowała ostatnio nowe pomieszczenie by nadać się za ruchem w interesie.

Skazani na kordoby i coraz bardziej wyczuleni na niesprawiedliwości są robotnicy rolni na farmach państwowych, zarabiający ok. dolara tygodniowo, i robotnicy fabryczni, osiągnięcy, być może, dwa. Badania przeprowadzone przez organizację prywatnych przedsiębiorców, COSEP, korzystające nota bene z danych rządowych, pokazują, że siła nabywcza tej grupy ludności spadła do poziomu z XIX wieku. Daniel Ortega przyznaje, że płace realne spadły, ale twierdzi jednocześnie, że zostało to wyrównane przez dotowany "canasta basica" ("koszyk podstawowy") ryżu, fasoli, cukru, oleju spożywczego itp., oraz przez niewidzialne "świadczanie socjalne". Kiedyś było w tym trochę prawdy; dziś



wygląda to dużo gorzej. "Canasta" jest w dwóch trzecich pusty, świadczenia socjalne nigdy nie wyszły daleko poza biurka.

Weźmy na przykład służbę zdrowia. Sandiniści ograniczyli zachorowalność na ospę i chorobę Heine'go-Medina poprzez entuzjastyczne i dobrze reklamowane kampanie szczepień. Nie jest to specjalnie trudne. Tam jednak, gdzie potrzebne są działania systematyczne, wyniki są przerażające. Zapadalność na malarię, denę i żółtaczkę jest większa niż w 1979 roku. Połowa lekarzy opuściła kraj. Szpital położniczy w Managui jest brudny i ma braki personelu. Występują krytyczne braki w zaopatrzeniu w lekarstwa; część z tego co jest (a jest, bo nie ma wartości na rynku międzynarodowym i nie może być przeschumowane do Kostaryki na sprzedaż przez urzędników z Ministerstwa Zdrowia) ma oznaczenia pisane cyrylicą; sposób podawania oparty jest więc o "nos" lekarza. Można oczywiście doszukiwać się różnych przyczyn, dla których sandinowskiego "proyecto" sprawiedliwości społecznej nie udało się wcielić w życie, tym niemniej tylko fanatyk może utrzymywać, że biedni Nikaraguańczycy żyją dziś lepiej niż za czasów Somozy.

Nie ma nic dziwnego w tym, że sandinistom nie udało się stworzyć dobrobytu. Ich przedrewolucyjne pisma nie zajmowały się nawet komunistyczną teorią ekonomiczną, nie mówiąc już o wzroście zamożności społeczeństwa. W rzeczywistości ich znajomość marksizmu jest wiele powierzchowna. Harry Berghold, do niedawna ambasador amerykański w Managui, lubił wciągać "commandantes" w dysputy, zapędzając ich w kozi róg na ich własnym gruncie ideologicznym swą biegłością w marksistowskiej doktrynie. Są oni leninistami-praktykami, rzecz jasna. Sprawują władzę przy pomocy elitarniej partii, lecz ich inspiracją, nacjonalistyczna mieszanina męczenników, mitów, symboli i demagogii, przypomina tę dewiację marksizmu, którą nazywamy faszyzmem. W szczególności jego włoski odłam, typu Mussoliniego.

Poza tym, że reżim sandinistowski uczynił z antyamerykanizmu podstawę swego istnienia i stał się klientem Związku Sowieckiego, dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych nie ma znaczenia rodzaj zaprowadzonego w Nikaragui ucisku. Ma jednak znaczenie dla Nikaraguańczyków. By dobrze poznać polityczną odporność reżimu, należy dobrze zrozumieć strukturę tamtejszej gospodarki. Sandiniści, przeciwnie niż Kubańczycy, nie znacjonalizowali środków produkcji. Manipulują natomiast prywatnym sektorem gospodarki za pomocą systemu licencji i monopoli, co jest po prostu ekstremalną wersją latynoamerykańskiego merkantylizmu. "Patriotyczny wytwórca" prosperuje niezłe. Z drugiej strony, "wróg państwa", taki jak Enrique Bolanos z COSEP, budzi się rano i widzi uzbrojonych w karabiny AK-47 chłopów, z niekłamany zachwytem przyglądających się jego ziemi, jego traktorom i ciężarówkom.

Taki system jest dobrze znany w Trzecim Świecie. Aczkolwiek nie jest to sytuacja godna pozazdrosczenia, sektor prywatny może tam robić umiarkowane interesy - gdy wszystkie strony przestrzegają reguł gry. Sandiniści byli jednak zbyt niecierpliwi i niedyscyplinowani, by mogło to zacząć działać. Wywłaszczono próbujących współpracować ze sobą właścicieli ziemskich; otrzymanie kredytu było uwarunkowane aktualnym kaprysem rządzących (wszystkie banki są znacjonalizowane), a państwowy system cen sprawia wrażenie wymyślonego we śnie lunatycznym. Wynikiem

jest dekapitalizacja środków produkcji. Za przykład niech posłuży eksport. Spadł on z 646 milionów dolarów w 1978 roku do 292 milionów w 1987. Według dra Jaime Bengoechea, przewodniczącego Nikaraguańskiej Izby Przemysłowej, kraj ten eksportował dawniej do innych krajów Ameryki Środkowej 150 milionów dolarów w dobrach przetworzonych. Teraz eksportuje mniej niż 20 milionów. Nikaraguański przemysł obecnie to szczątki dawniejszego.

Bankructwo samo w sobie nie stanowi zagrożenia dla systemu totalitarnego tak długo, jak długo to co z gospodarki zostało znajduje się pod kontrolą reżimu. Niewątpliwie można wymusić postulowanie głodem tam, gdzie rządzący posiadają monopol na dostawy żywności. Problemem dla sandinistów jest to, że ważnych działów gospodarki mają pod kontrolą coraz mniej. Sektor prywatny wywyciżył się w schodzeniu z pola widzenia władz i osłania czarny rynek, według niektórych mający większe obroty od oficjalnej gospodarki. Efektem jest podminowanie władzy. Sandiniści nie mogą już straszyć robotników państwowych wyrzucaniem z pracy; płace są bowiem tak beznadziejnie niskie, iż robotnicy sami masowo rzucają pracę, mając nadzieję na szybki zarobek jako "buhoneros" (pokątni handlarze) na ulicy. Rząd kontrolował prywatne przedsiębiorstwa przy pomocy marionetkowego związku zawodowego - Konfederacji Robotników Sandinistowskich - rozdzielającego talony na zakupy w dotowanych, państwowych sklepach, znanych jako CAT-y, gdzie robotnicy mogli kupować odzież i obuwie za ułamek ceny wolnorynkowej; wielu robotników mówiło mi, że przeszli ze związku opozycyjnego do związku sandinowskiego tylko po to, by dostać talony do CAT-ów. Obecnie jednak rządowy system rozdziału towarów jest tak zdeorganizowany, że CAT-y nie mają już wiele do zaoferowania. Jednocześnie uposażenia w sektorze prywatnym, gdzie przestano przejmować się rządowymi ograniczeniami płacowymi, zaczęły osiągać przywoity poziom - czyniąc brak dostępu do CAT-ów łatwiejszym do zniesienia. (W czerwcu 1988 r. rząd ogłosił koniec kontrolowania cen i płac).

Kartki żywnościowe straciły znaczenie. "Mało mnie już obchodzi", powiedziała mi Coco Lopez, kucharka z Managui. "Idę do 'dispensio'a tam nic nie ma". Zaopatruje się więc w żywność na Targu Wschodnim. Sandiniści co jakiś czas przymierzali się do zamknięcia tej "jaskini wolnego handlu" - w efekcie jeden (co najmniej) z ich kontrolerów zginął, zlincowany przez kobiety. Ostatnio zaczyna wyglądać na to, że Ministerstwo Handlu Wewnętrznego poddało się. Zaopatrzenie na Targu jest lepsze niż w poprzednich latach i nawet towary zakazane, jak ryż, który jest zarezerwowany dla państwowej maszyny opiekuńczej, można było kupić pod ladą. W zeszłym roku duża dostawa ryżu ze Związku Sowieckiego znalazła się na Targu Wschodnim zanim zdolała dojechać do hurtowni państwowych. Choć na prowincji kartki żywnościowe wciąż jeszcze mają znaczenie, to można sobie jednak bez nich poradzić. Ludzie chodzący na zebrania opozycyjnej Partii Konserwatywnej w - dajmy na to - małym miasteczku El Carmen, mogą obawiać się szklan z strony lokalnej policji politycznej; coraz trudniej jednak zauważyć u nich lęk przed utratą "tarjety", jak tu nazywa się kartkę żywnościową.

Sandiniści utracili najważniejsze narzędzie kontroli totalitarnej - przymus ekonomiczny. Dr Jose Luis Medal, nikara-

guański ekonomista prowadzący biuro doradztwa ekonomicznego w Managui, ocenia, że więcej niż 60% siły roboczej w stolicy znajduje się poza ekonomiczną kontrolą rządu. Sandiniści nie mieli też znaczących sukcesów tworząc aparat polityczny państwa jednopartyjnego. Sandiniści - w przeciwieństwie do partyzantów salvadorskich, będących rzeczywiście marksistowskimi rewolucjonistami, nie zaś zwykłymi politycznymi awanturnikami - przed przechwyceniem władzy nie stworzyli w Nikaragui bazy społecznej dla swych poczynań. Musieli stworzyć swe masowe organizacje od podstaw, nie mogąc oprzeć się o zaprawioną w bojach kadrę. Wiele dziur zapchali wobec tego zwykli oportuniści, albo też ukryci somoziści. Efektem są doty partyjne całkowicie pozbawione "ikry". Są, rzecz jasna, wyjątki. Organizacja "Młodzież Sandinistowska" potrafi zebrać "turbę" uliczników, dać im pałki i oddelegować do karcenia kontrrewolucjonistów. Jednak poza tymi, w gruncie rzeczy skierowanymi na oślep, aktami przemocy fizycznej partia ma mało sposobów oddziaływania na społeczeństwo.

Sandinistowskie Komitety Obrony (CDS), zwane przez "ojca chrzestnego" sandinistów, Tomasa Borge, "oczami i uszami rewolucji", wywołały oburzenie za granicą, gdzie porównywano je do hitlerowskich "blokowych". W rzeczywistości nie są warte funta kłaków. W niektórych osiedlach ludzie nie wiedzą nawet kto jest ich "kapitanem", co więcej, to ich nie obchodzi. W innych zaś pokazują leniwie klerunek, dodając przy tym, że CDS-y mało kogo teraz wzruszają. Na początku lat osiemdziesiątych Nikaraguańczycy chodzili na zebrania komitetów, gdyż tylko w ten sposób można było załatwić wiele rzeczy, na przykład podciągnięcie wody do osiedla. Gdy skończyły się łaski - skończyło się chodzenie na zebrania.

CDS-y wciąż jeszcze zajmują się (nieformalnie) rekrutacją do armii. Niezbyt im się to udaje - w Nikaragui duży odsetek młodzieży wymiguje się od poboru. W styczniu rozmawiałem z grupą młodych ludzi, grających w baseball w Carazo (region ten nie jest, nawiasem mówiąc, znany z jakiejś szczególnej sympatii dla "contras"). Mówili mi, że prawie wszyscy z nich w ten czy inny sposób unikają wojska. "Widzisz, każdy bawi się na własny rachunek, prawda?", mówił jeden z nich. "Z jakiej okazji ja mam nadstawiać karku za braci Ortegow?". Minister Obrony, Humberto Ortega, chwali się, że utworzy 600-tysięczną armię odwodową. Jedno z dwojga: albo blefuje, albo zwariował.

Sandiniści usiłovali powtórzyć sztuczkę hitlerowców: stworzyć postulując sobie repliki wszystkich nikaraguańskich organizacji społecznych, mające podkopywać działalność tych ostatnich. To też się nie udało. Ani jedna nie zyskała szerszego poparcia. "Kościół ludowy", który narobił dużo szumu poza granicami Nikaragui, przestał się liczyć, gdy biskupi powoli pouśuwali "teologów wyzwolenia" ze swych diecezji. Nie-Nikaraguańczycy zostali odwołani przez swych europejskich zwierzchników, miejscowi zaś stonowali swe kazania. Hierarchia kościelna, z kardynałem Obando na czele, jest przez przygniatą większość Nikaraguańczyków uważana za jedyną prawdziwą reprezentację katolicyzmu. Reżim nie może już udawać, że posiada błogosławieństwo Kościoła. Powszechnie wszystkim wiadomo, co Obando myśli o sandinistach.

Sandinistom nie udało się zaprowadzić systemu totalitarnego w Nikaragui. Mają jednak możliwość kontrolowania społeczeń-

stwa, przede wszystkim przy pomocy DGSE (policji politycznej), która zdołała infiltrować opozycyjne organizacje i związki zawodowe, i obezwładnia ich działalność. Spontaniczny wybuch jest więc mało prawdopodobny. W słaby punkt sandinistów uderzyłyby jednak powstanie, umiejętnie prowadzone przez (używając marksistowsko-rewolucyjnej terminologii) partię awangardową, które osłabiłoby autorytet rządu i zmusiło do popełnienia błędów.

Humberto Ortega doskonale to rozumie. On sam dziesięć lat wcześniej obmyślił w swej siedzibie w Kostaryce i przeprowadził przewrót sandinistowski. W tym czasie Tomas Borge, nie widząc szans na wywołanie rewolucji i rozczarowany apatią proletariatu, optował za maoistowską strategią "ustawicznej wojny ludowej" w górach. Ale Ortega czuł, że fundamenty somozizmu już tak przegniły, iż trzeba tylko kilku dobrze wycelowanych pchnięć i cała budowla się zawali. Zorganizował w październiku 1977 roku serię ataków na oddziały Gwardii Narodowej. Akcje te nie miały znaczenia militarnego, ale diametralnie zmieniły nastroje w Nikaragui. Spełniły, można rzec, rolę katalizatora przy wybuchu powstania Indian Monimbo cztery miesiące później - powstania, które zapoczątkowało wojnę domową. Ortega przyznaje, że nigdy nie kontrolował miejskich sankiulotów, zapelniających uliczne barykady i biorących na siebie cały ciężar waik. Oni nie byli sandinistami. Lecz Ortega ich wykorzystał - słusznie liczył na to, że w sprzyjających okolicznościach elitarna partia typu leninowskiego może - szermując różnymi symbolami - wygrać rozruchy na swoją korzyść.

Na początku 1988 roku "contras" zaczęli wygrywać "wojnę nastrojów"; byli o krok od stania się "rewolucyjną awangardą". Z band somozistowskich przeobrazili się w największą w Ameryce Łacińskiej partyzantkę chłopską. Było to coś zdumiewającego; żadne strategicznie planujące dowództwo "contras", ani też CIA, nie byłyby w stanie tego przewidzieć. A było to po prostu efektem ośmiu lat rządów sandinistów. Tak jak większość korespondentów w Ameryce Środkowej, ja też długo nie zdawałem sobie sprawy z tego, co się dzieje. Zacząłem rozumieć na początku 1985 roku, po dziesięciodniowej, samotnej wędrówce przez górskie prowincje Jinotega, Matalaga i Boaco. Jest to rejon zamieszkały przez drobnych właścicieli ziemskich, można by powiedzieć kulaków, z których niektórzy mają stada bydła, liczące i po kilkadziesiąt sztuk, niektórzy zaś niewiele więcej niż konia; jedno, co mieli wspólne, to zaciekle indywidualizm. Włóczyłem się od jednej farmy do drugiej, jadłem i spałem gdzie mnie zaproszono i wypytywałem na lewo i prawo o wszystko.

Pierwszą krzywdą były konfiskaty żywności, przeprowadzane przez Ministerstwo Handlu Wewnętrznego. Chłopi obowiązkowo musieli sprzedawać państwu za ustaloną cenę produkty swej pracy. Ceny te jednak nie nadążały za inflacją. Przeciwnie, w miarę postępującego upadku gospodarki rząd stawał się coraz bardziej zachłanny; w końcu przyszedł moment, kiedy ceny skupu spadły poniżej kosztów produkcji. Niektórzy spierają się, czy nie była to świadoma strategia, mająca na celu zniszczenie prywatnej własności ziemi i zmuszenie rolników do przyłączania się do kolektywów i spółdzielni, gdzie łatwiej ich kontrolować. Wspomniany już Jose Luis Medal twierdzi w swej pracy o filozofii gospodarczej sandinistów, że było to tylko nieudolne planowanie.

Nie ma jednak miejsca na takłe wątpliwości, gdy rozważamy represje stosowane przez sandinistów. Nie jestem w stanie pojąć, jak Americans Watch, nowojorska organizacja zajmująca się prawami człowieka, mogła dojść do wniosku, że wypadki nadużyć ze strony sandinistów były raczej wyjątkami niż regułą. Spotkałem wielu wieśniaków, którzy opowiadali mi o swoich aresztowaniach, trwających zazwyczaj od dwóch do ośmiu tygodni, o ludziach bitych, przetrzymywanych pod wodą ("el submarino") i zastraszanych. Jasne było, że najcięższe represje stosowane były jeszcze przed procesami, w obozach odosobnienia, dokąd nie wpuszczono przedstawicieli Czerwonego Krzyża, a nie w oficjalnych, podlegającym sądom, miejscach. Tych ok. pięciuset więźniów, skazywanych corocznie przez Trybunały Antysomozistowskie, gdzie sędziami są aktywiści partyjni z komitetów blokowych, to tylko wierzchołek góry lodowej.

Po powrocie do Managui odwiedziłem opozycyjną Stałą Komisję Praw Człowieka i zacząłem przeglądać będące w jej posiadaniu zeznania pokrzywdzonych (zbiory nie są zbyt wielkie - chłopci składający zeznania muszą przebyć długą nierzadko drogę do Managui; wielu chłopów w ogóle nie wie o istnieniu Komisji). Przez następne dwa lata odwiedzałem odległe wioski, skąd pochodziły doniesienia o morderstwach i uzyskałem potwierdzenie, że niektóre oddziały milicji sandinistowskiej to prawdziwe "szwadrony śmierci". Niektóre oddziały "contras" też. Obie strony są jednakowo brutalne. Sandiniści jednak, rozporządzający większymi środkami, prowadzą swe akcje wyniszczające na dużo większą skalę.

Stosowane przez sandinistów metody ujarzmiania nieposłusznego chłopstwa były złe wyważone. Nie były na tyle bezwzględne, żeby zdołały zniszczyć opór - reżim jest zbyt zależny od zagranicy, by mógł ryzykować masakry w stylu gwatemalskim - ale były wystarczająco okrutne, by wzbudzić nienawiść u tysięcy ludzi - co przyczyniło się prawdopodobnie do powiększenia społecznej bazy "contras". Na początku 1988 roku na dużych obszarach Nikaragui, "contras", zwani tutaj "Los Primos" ("Kuzyni"), mogli poruszać się zupełnie swobodnie, będąc pewnymi lojalności mieszkańców; sandiniści natomiast żyją tam z niemiłym uczuciem bycia armią okupacyjną. Lokalni przywódcy "contras" stają się - zupełnie jak w mitach sandinistów - bohaterami ludowymi. Commandante "Franklin", dowódca jednego z oddziałów, jest niemal żywą legendą w swej rodzinnej prowincji Chontales, gdzie przez lata zwodził znacznie większe siły sandinistów.

"Contras" mają przeciwko sobie ogromną maszynę wojenną. Gwardia Narodowa Somozy nigdy nie liczyła więcej niż piętnaście tysięcy żołnierzy. Sandiniści dysponują armią liczącą więcej niż siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy, wspieraną przez zmilitaryzowanych pracowników spółdzielni, wyposażoną w straszliwe "Organy Stalina" (do skoncentrowanego ostrzału artyleryjskiego) i helikoptery bojowe Mi-24.

Ale sandinistowska Armia Ludowa nie spełnia pokładanych w niej nadziei. Dyscyplina jest kiepska, oficerowie piją podczas akcji bojowych. Oddziały antypartyzanckie (BLI) tworzą rekruci, którzy przeszli kilkutygodniowe zaledwie przeszkolenie. Często się zdarza, że - ignorując podstawowe zasady ostrożności w miejscach grożących zasadzkami - zbierają się podczas patrolu w gromady. Możliwe, że właśnie kiepskie osiągnięcia pie-

choty sandinistów (z wyjątkiem słynnych elitarnych oddziałów Pabla Ubevy) sprawiły, że nie wyciągnęli oni wniosków z udanej kampanii antypartyzanckiej w Gwatemali w 1982 roku, przeprowadzonej właśnie siłami piechoty. Zamiast tego, sandiniści coraz bardziej szli w ślady Amerykanów w Wietnamie, uzależniając się od wsparcia sił powietrznych. Zaczęli nawet atakować wioski 250-kilogramowymi bombami, zrzuconymi z ciężkich AN-ów - widomy znak sklerozy wojskowej.

Dla kontrastu, rebelianci radzą sobie coraz lepiej. Uczą się wszystkiego na polu walki, nauczyli się koncentrować siły przed dużymi operacjami i rozpraszać się po akcji. Przed Bożym Narodzeniem 1987 przeprowadzili dwie, największe dotychczas w tej wojnie, operacje bojowe, z których jedna omal nie zakończyła się przejściem kontroli nad strategiczną drogą Rama, łączącą wybrzeże Atlantyku z Pacyfikiem. "Contras" rozpowszechniali informacje o tych akcjach z własnej radiostacji, z radiostacji w Kostaryce i nawet przy pomocy "stugębnej plotki".

Te dobrze rozreklamowane akcje miały miejsce w czasie, kiedy sandiniści stali w obliczu kryzysu politycznego w miastach. Manewrując wokół planu pokojowego Ariasa, odkręcili nieco śrubę represji: wystarczająco by wywołać ferment. "La Prensa", z powrotem w obiegu bez ingerencji cenzury, otwarcie ośmieszala rząd, podminowując jego autorytet. Ukazał się zadziwiający wywiad z byłym oficerem armii nikaraguańskiej, majorem Rogerem Mirandą, który oskarżył prezydenta Daniela Ortegę o zdradę współtowarzyszy z partyzantki jeszcze przed rewolucją. Ruch koordynujący działania opozycji, "La Coordinadora Democrática", zorganizował 10 stycznia demonstrację, której uczestnicy otwarcie skandowali "viva la resistencia".

Niedługo potem, pod koniec stycznia, Managua została niemal całkowicie sparaliżowana, kiedy dostawy ze Związku Sowieckiego się opóźniły. W moim sąsiedztwie przez pięć dni nie było wody, wyjąwszy kąpienie w nocy. W dzielnicach biedoty, gdzie jeden kran przypada na wiele rodzin, kobiety wstawały o pierwszej w nocy i stały z wiadrami w długich kolejkach. Benzyna była nieosiągalna, chyba że za łapówki. Kierowcy stali w długich, poskręcanych kolejkach przed stacjami benzynowymi, w nadziei kupna choćby dwudziestu litrów. Kolejka nie przesuwawała się - wyłączenia energii oznaczają unieruchomienie pomp. Nagłe wyłączenia prądu unieruchomiły też fabryki. Biura bez wentylacji zmieniły się w piece. Skoczyła też temperatura nastrojów. Na targach i w autobusach ludzie otwarcie wyrzekali na rząd. Miasto ogarniał stan wrzenia, a sandiniści nie mieli w zanadku innego od brutalnej siły sposobu na uspokojenie nastrojów.

Dzień, w którym musieliby albo utracić kontrolę nad wypadkami, albo użyć siły na ulicach - co byłoby filmowane i pokazane na całym świecie - był bliiski. Kongres Stanów Zjednoczonych oszczędził im konieczności wyboru.

3 lutego 1988 roku Kongres przegłosował wstrzymanie pomocy dla "contras". Emocje wielu miesięcy opadły w ciągu kilku dni. Gdy Nikaraguańczycy dowiedzieli się, że Stany Zjednoczone zostawiły "contras" na pastwę losu, jedyną ich myślą było to, że zostali skazani na sandinizm; ludzie, którzy przez cały czas przyjmowali postawę wyczekującą, wycofują się teraz, mając dużo do stracenia w wypadku stawiania na opozycję.

Wielu Amerykanów nie może tego zrozumieć - oswoili się

z myślą, że Nikaraguańczycy są antyamerykańskimi nacjonalistami. W rzeczywistości jest odwrotnie. Nikaraguańczycy są w większości bardzo proamerykańscy (nazywają siebie "gringuistas"); dla wielu z nich El Norte to jak raj na ziemi. Naiwnie wierzą też w potęgę Ameryki: wyglądają na ludzi zakładających, że tam, gdzie angażują się Stany Zjednoczone, ich sprzymierzeńcy wygrają, a Nikaraguańczycy lubią wygrywać. Liberalni komentatorzy w Waszyngtonie wypisują puste frazesy o tym, jakoby "contras" nie mieli szans na zwycięstwo tak długo, jak długo łączono by ich ze Stanami Zjednoczonymi; tymczasem sami "contras" widzą to inaczej: przez sześć lat przekonywali Nikaraguańczyków, że Reagan jest po ich stronie. To, że nie jest, zrobili jak najgorsze wrażenie.

Pokojowy plan Ariasa postawił Kongres w delikatnej sytuacji. Przedłużenie pomocy dla "contras" w dwa tygodnie po tym, jak prezydenci państw środkowoamerykańskich podpisali porozumienie pokojowe w San José, nie przyniosło by popularności dyplomacji amerykańskiej. Nietrudno domyślić się, jakie pobudki kierowały podpisującymi porozumienie. Oscar Arias przecenia swój dar przekonywania. Prezydenci Hondurasu i Salwadoru popadli w niewolę mody panującej obecnie w stosunkach międzynarodowych - mody na pokojowe spotkania na szczytach. Wszyscy wątpili, że podzielony Waszyngton wesprze "contras" na tyle, by mogli naprawdę wygrać. Arias z kolei doszedł do wniosku, że ugoda z sandinistami jest lepszym rozwiązaniem niż niekończąca się wojna w sąsiadującym państwie. Dla niezdecydowanych demokratów amerykańskich ugoda stała się wygodnym pretekstem, by uwolnić się od dylematu. Być może niektórzy nawet uwierzyli, że sandiniści wypełnią swe obietnice "demokratyzacji".

Jeśli tak jest, to znaczyłoby to że są niewybaczalnie łatwowierni. Trafnie określił to senator Ernest Hollings: "Jeśli muł kopie cię po raz drugi, znaczy to tylko, że pierwsze kopnięcie niczego cię nie nauczyło". W 1979 roku bracia Ortegowie przewodzili stronnictwu, znanemu jako "Terceristas", wchodzącemu w taktyczne sojusze z przemysłowcami i partiami centrowymi. Prowadzona była makiaweliczna wręcz kampania propagandowa, przedstawiająca Front Sandino jako wspaniały ruch, z kilkoma co najwyżej komunistami tworzącymi jądno ze skrzydeł, ale grupujący przede wszystkim nacjonalistów i socjaldemokratów. Po przechwyceniu władzy Ortegowie przyzywiali do tej sprawy dużą wagę; tajny dokument partyjny z sierpnia 1979 roku, "Ocena sytuacji i zadania", nawet podkreślał znaczenie marionetkowego pluralizmu dla ugłaskania międzynarodowej opinii publicznej. "Humberto /Ortega/ to geniusz", powiedział Arturo Cruz, dawny sandinista, obecnie doradca "contras". "Powtarza całą zabawę w Terceristów".

Jednakże, jakkolwiek na to patrzeć, ani Plan Ariasa, ani następujące potem porozumienie z Sapoa w ogóle nie wspominają o rozdzieleniu armii i partii. Należy pamiętać, że Front Sandino był najpierw organizacją militarną, dopiero później przekształcił się w partię polityczną. Militarizm jest esencją sandinizmu. "Ich najlepsi ludzie są w armii", powiedział Virgilio Godoy, dawny minister pracy, a obecnie przewodniczący Niezależnej Partii Liberalnej. FMLN w Salwadorze stanowczo odrzucił możliwość podpisania jakiegokolwiek porozumienia pokojowego, które nie zmieniałoby salwadorskich struktur państwowych. Żąda-

ją dla siebie uczestnictwa w rządzie oraz połączenia armii rządowej z opozycyjnymi siłami wojskowymi.

"Contras" tak naprawdę mogą teraz negocjować co najwyżej warunki honorowego poddania się. Co jakiś czas nawet przymiotnik "honorowe" gdzieś znika. "Omawiamy sposób, w jaki najemnicy, i tak już rozgromieni, mogą złożyć broń", powiedział ostatnio Daniel Ortega. "Powinni być wdzięczni, że nie oferujemy im gilotyny i plutonów egzekucyjnych". W czasie gdy piszę te słowa, rozmowy utknęły w martwym punkcie. "Contras" zaczęli określać, co rozumieją pod pojęciem "akceptowalnej demokratyzacji", zaczęli jednak to robić na tyle późno, że to oni sprawiają wrażenie utrudniających rozmowy. Straszą powrotem na drogę walki zbrojnej. Byłoby to trudne do przeprowadzenia. Nikaraguańczycy widzieli w telewizji Adolfo Calero i Daniela Ortegę śpiewających razem hymn narodowy. Z jednej strony jest to oficjalne uznanie "contras", z drugiej jednak ma pewien posmak "personalismo". Historia Nikaragui obfituje w nieprawdopodobne sojusze, w ugody między przedstawicielami odmiennych ideologii, w przejścia do obozu przeciwnika. Pojawiające się gdzieś tam poczucie zdrady niewątpliwie podkopało waleczność i karność "contras". Wśród dowódców mniejszych oddziałów zdarzyły się już wypadki buntu.

Jeśli ta wojna jest przegrana, to przegrano ją w Waszyngtonie. Ci, którzy wierzą, że w 1968 roku podczas wojny wietnamskiej żołnierze amerykańscy odparli głośną ofensywę Tet, z czego jednak nie zdali sobie sprawy i stracili wolę walki - doszręgą bardzo podobną sytuację w Nikaragui. Nikt, nawet sandiniści, nie mógł przewidzieć, że "contras" odniosą na polu walki takie sukcesy, jakie odnieśli. Teraz wiemy, że mogli odnieść nawet większe. Zbyt wielu przywódców "contras" traktowało swe działania jako wstęp do bezpośredniej interwencji Stanów Zjednoczonych. W efekcie utrzymywali organizację oddziałów "contras" podobną do regularnej armii, prowadząc działania bojowe przy pomocy dużych sił i z długimi liniami zaopatrzenia. W końcu inicjatywa wśród "contras" przeszła w ręce pół-samodzielnych, lokalnych dowódców, którzy musieli sami przystosować się do warunków wojny partyzanckiej. Wśród partyzantów nie było też nigdy dążenia do utworzenia własnej organizacji politycznej, w szczególności jej miejskich komórek - mogących być bazą dla powstania w miastach. Przywódcy bawili się w podchody w grze, którą Nikaraguańczycy nazywają "politica electorera", zamiast planować rewolucję. "Jesteśmy w jednej trzeciej wieprzem", powiedział w chwili szczerości jeden z przywódców "contras".

Niezależnie od tego, ta niesamowita koalicja utrzymywała się i odnosiła sukcesy. Problemem było to, jak "sprzedać" te sukcesy w Stanach Zjednoczonych. Nie ma znaczenia, że sondaże pokazują, iż większość Amerykanów nie popiera nikaraguańskiej polityki administracji Reagana. Są to tylko liczby odzwierciedlające tkwiący wewnątrz ludzi izolacjonizm. Bardziej niebezpieczna jest natomiast krążąca wśród wykształconych Amerykanów opinia, że "contras" nie powinni walczyć dalej. Mówi się, że nie kontrolują żadnych terytoriów. Ale żadne powstanie partyzanckie w Ameryce Środkowej nie kontroluje żadnych terytoriów w ścisłym tego słowa znaczeniu. Każdy metr kwadratowy ziemi salwadorskiej może być okupowany przez armię rządową, tym niemniej rebeliancki FMLN niezgorzej tę ziemię pustoszy. Podręcz-



nikową mądrością jest to, że jak długo partyzanci nie przegrywają, tak długo są na najlepszej drodze do zwycięstwa. Kongres, oczekujący na trwałe rozstrzygnięcia, zdawał się o tym zapomnieć. O "contras" mówi się, że przegrywają, gdyż nie zdobywają miast i nie tworzą dwuwładzy. Sami "contras" nie są bez winy - obiecywali zbyt wiele i zaniedbali opracowania strategii długotrwałej wojny ludowej.

Spotkali się też z niezastępowaną krytyką wewnątrz Stanów Zjednoczonych za uzależnienie się od dostaw z zewnątrz. Żadna z pozostałych rebelii w Ameryce Środkowej nie jest w pełni samowystarczalna. Sami sandiniści mają bazy w Kostaryce; broń dostają z Wenezueli, Panamy i, rzecz jasna, Kuby. Rebelianci salwadorscy są najbardziej samodzielni, ale i oni potrzebują dostaw nikaraguańskich. W 1983 roku omal nie znaleźli się w kropce, gdy sandiniści, przestraszeni inwazją Stanów Zjednoczonych na Grenadę, wstrzymali czasowo dostawcze loty samolotów nad Zatokę Fonseca. Co więcej, "contras" muszą być bardziej niż FMLN zależni od dostaw, skoro walczą z reżimem rozciągającym nad społeczeństwem dużo dalej idącą kontrolę, niż jakikolwiek inny rząd. Zdarzyło mi się widzieć salwadorskich rebeliantów "na zakupach". Do niedawna byłoby to zupełnie niemożliwe w Nikaragui, gdzie rząd ostro kontrolował dostawy żywności. Co więcej, salwadorscy partyzanci płacili pieniędzmi zrabowanymi farmerom, pasażerom autobusów lub też rodzinom zakładników. Spróbujmy wyobrazić sobie ten krzyk, który podniósłby się, gdyby "contras" próbowali działać tak samo. Muszą oni prowadzić wojnę partyzancką w sposób odpowiadający zasadom wyrafinowanej demokracji - co jest niemożliwe.

Czy administracja Reagana mogła prowadzić swą politykę wobec Nikaragui inteligentniej? Rząd szybko padł ofiarą nieodpowiedzialnych polityków. "Contras od razu stali się pupilkami skrajnej prawicy amerykańskiej, a to oznaczało dla nich klęskę", powiedział urzędnik Departamentu Stanu, sam będący entuzjastycznym zwolennikiem ruchu oporu. Czy można było uczynić coś, co przyciągnęłoby demokratów do sprawy? Być może. Niektórzy przedstawiciele rządu przyznają teraz, że działali zbyt pochopnie, odsuwając jednak związane ze wszystkim ryzyko. Kręgosłup "contras" mógł się szybko rozpaść i administracja nie miałaby o kogo się oprzeć. Sandiniści musieliby wtedy dłużej budować armię i indoktrynować nikaraguańską młodzież. "Aparat kontroli znacznie utrudniłby wybuch powstania", powiedział jeden z głównych architektów tej polityki. "Ale z politycznego punktu widzenia bardziej sensowne było wyczekać. Łatwiej byłoby rozpropagować sprawę w Waszyngtonie gdyby doszło do rozruchów ulicznych, jak na Haiti czy Filipinach. A rozruchy zaczęłyby się na pewno".

Sprowadzając sprawę na płaszczyznę militarną, administracja dała sandinistom pretekst do działań totalitarnych; uniemożliwiając sobie jednocześnie dalsze przedstawianie sandinistów jako uzurpatorów. Co więcej, oparcie się na oficerach z dawnej somozistowskiej Gwardii Narodowej było tylko pretekstem dla sandinowskiego Biura Agitacji i Propagandy (DAP). CIA dołożyła do tego charakterystyczne dla niej popieranie ludzi pozbawionych szerszych wizji rewolucyjnych, przykładem niech będzie Adolfo Calero. Oliver North poszedł śladami CIA w czasie afery Bolanda (finansowe wsparcie "contras" pieniędzmi uzyskanymi za tajne dostawy broni do Iranu), używając "prywatnej

sieci dostawczej" (jak nazywają to "contras"), aby przesyłać pieniądze uzależnionym od nich troglodytom, odcinając od nich natomiast eks-sandinistów, przynoszących do ruchu świeżość, spontaniczność i rewolucyjny zapał. Arturo Cruz, który zgryźliwie skrytykował strategię "contras", co wściekło Northa i skłóciło obu ze sobą, powiedział, że "oni /CIA oraz North ze swymi współpracownikami/ po prostu zawalili sprawę; używali Calero jako symbolu nikaraguańskiego ruchu oporu, ale nie rozumieli, że jego twarz jest tak wielka, iż przestania twarze walczących w partyzantce młodych wieśniaków"

Komentarze podsumowujące sprawę wyrażają najprzeróżniejsze opinie. Niektórzy ciągle jeszcze uważają, że sandiniści byliby skłonni pójść na współpracę. Zapominają jednak, że Jimmy Carter już tego próbował. Sandiniści otrzymali po lipcu 1979 roku 118 milionów dolarów w ramach pomocy amerykańskiej (więcej niż Somoza dostał przez całe ćwierćwiecze), spłaty długów zostały przełożone na najkorzystniejszych warunkach, a zasady Inter-Amerykańskiego Banku Rozwoju zostały nagięte, by umożliwić dostawy do Nikaragui. Nie przeszkodziło im to jednak w zrujnowaniu własnego kraju bez mrugnienia okiem. Tomas Borge powiedział, że zdobycze rewolucji nie są na sprzedaż. Możliwe, że dałoby się połączyć tę żabę. Jeśli tylko Waszyngton trzymałby się z dala od wszystkiego, zupełnie możliwe jest, że Stany Zjednoczone nie odczułyby upadku całej Ameryki Środkowej. Meksyk rządzi się własnymi prawami; rżenie najprzeróżniejszych zbankrutowanych krajów w stylu Albanii nikomu, poza ich obywatelami, nie spędzałoby snu z powiek.

Zamiast tego, Stany Zjednoczone wybrały najgorszą drogę. Interweniowały, ale nie decydująco. Potępiły, ale nie przeciwdziałały. Same zostały na forum międzynarodowym potępione za supermocarstwowe traktowanie mniejszego kraju, ale z tej supermocy nie zrobiły żadnego użytku. Pod koniec całej sprawy sytuacja w regionie wróciła do punktu wyjścia i cała uwaga opinii przenosi się ponownie na Salwador, gdzie centrum polityczne chyli się ku upadkowi. Michael Dukakis powiedział, że "jest to największe fiasko w moim życiu". Sądzę, że on naprawdę nie rozumie, jak blisko "contras" byli od sparaliżowania Nikaragui. Ci spośród demokratów, którzy się tego domyślają, nie potrafią się do tego przyznać. Zrobić to, oznaczałoby przyznanie, że poprzez odcięcie dostaw dla partyzantów ich partia zamieniła niedalekie już zwycięstwo "contras" w porażkę.

\*\*\*

Sheldon Kelly

KRIS KRISTOFFERSON W SAPOA

Wjeżdżasz do Sapoa w Nikaragui. Tumany kurzu hulają po wyboistej drodze; obszarpani, obojętni na wszystko campesinos wygładają z zaniedbanych chałup, oblepionych nowymi plakatami sandinistowskiego rządu. Kilka wychudłych koni stoi w cieniu pełnej much "tiendy". Na jednym z nich drzemie w bezruchu bosonogi starzec w słomianym kapeluszu. Widzisz poza tym kościół, jaskrawo biały jak suknia ślubna. Przypatrując się z bliska

widzisz, że farba jest świeża, i że pokrywa też zabite deska-  
mi wejście; ociekające krople utworzyły na ziemi sporą plamę;  
więcej jej jest rozmazane na kupie kamieni, leżącej obok rachi-  
tycznego drzewa. Drzewo stoi na wprost kościoła i oblepione jest  
jaskrawymi sandinistowskimi plakatami. Znajdujesz się o kilka  
minut drogi od urzędu celnego, gdzie przywódca nikaraguańskich  
armii, marksistowskiej i opozycyjnej, będą po raz pierwszy w  
historii omawiać zawieszenie broni - i gdzie Kris Kristofferson,  
gwiazda filmu, oczekuje na uroczyste rozpoczęcie rozmów  
pokojowych między sandinistami a "contras".

Na godziny przed tym, zanim pierwsze deklaracje pokojo-  
we będą publicznie składane przez sandinistę czy też przedsta-  
wiciele "contras", Kristofferson został przyprowadzony do bla-  
szanego baraku przeznaczonego dla dziennikarzy. Zajął miejsce  
na blacie długiego, drewnianego stołu, przyjmując rolę ozdobnej  
makatki na jego środku, jakby powiedziano to w jego Kaliforni.  
Jego obecność zadziwiła mnie. Jechałem tu przez gorącą, pustą  
kostarykańską równinę, sandinistowscy urzędnicy graniczni byli  
dokładni i pozbawieni poczucia humoru; następnie przewieziono  
mnie przez Sapoa. Jak więc on dostał się tutaj, taki świeży i  
wypoczęty?

Jeden z dziennikarzy uniósł niechętnie głowę znad swego  
przenośnego reporterskiego komputera, gdy go o to zapytałem.  
Gwiazdor przyjechał z Managuą klimatyzowanym autobusem Mercedesa  
- wyjaśnił. Po co? - zapytałem. Nie wiedział i go to nie ob-  
chodziło. "Przyjechał z tymi... tymi drugimi". Pokazał palcem  
za siebie, zapalił papierosa i znowu pochylił się nad pustym  
ekranem.

Współtowarzyszami podróży gwiazdy byli snujący się lu-  
dzie w typie letników na Cape Cod, nazywający siebie Stowarzy-  
szeniem Weteranów na Rzecz Pokoju, co najmniej jeden profesor  
z Uniwersytetu Harvarda, sporo młodych kobiet, zajętych rozglą-  
daniem się po suchej, pustej okolicy i robieniem notatek w ślicz-  
nie oprawionych notesikach oraz inny znany Kalifornijczyk, Brian  
Willson. Willson, jak może niektórzy pamiętają, poświęcił w le-  
cie ubiegłego roku swe nogi dla Wielkiej Sprawy siadając na  
trasie pociągu amunicyjnego w Concord w Kalifornii.

Członkowie grupy kręcili się po baraku, perorując w sty-  
lu zmęczonych zwycięzców w wielkiej grze, o której wielkości ty-  
ko oni mieli pojęcie. Kristofferson zaś cały czas siedział jak  
wbity na środku stołu, o metr od stanowisk dziennikarzy radio-  
wych i kamer telewizyjnych. Jego "prawnie zastrzeżony znak fir-  
mowy" - długie włosy i śmieszne, małe wąskie oczy można było  
widzieć praktycznie zewsząd. Tłumy dziennikarzy kłębiły się  
wokół.

Dziennikarz z agencji TASS, ekipa telewizji kubańskiej  
i zespół ponurych mężczyzn i kobiet w sandinistowskich mundur-  
kach z plakietkami prasowymi przepchnęli się przez kristoffer-  
sonowski dwór. Jakiś Amerykanin o falistych włosach, modne u-  
brany w spodnie koloru khaki z mnóstwem kieszeni, koszulę z  
dzianiny i chodaki, pochylił się do ucha gwiazdora, szepcząc  
coś i strzelając wzrokiem dookoła. Gwiazdor uśmiechał się i uś-  
miechał, podążając spojrzeniem za oczami kędzierzawego dzienni-  
karza.

"Nie powinienem, będąc Murzynem, mówić tego, gdyż ci  
ludzie bronią pewnie praw kolorowych", powiedział Pete, młody

kamerzysta jednej z sieci telewizyjnych, "ale na widok Kristoffersona i całej tej cholernej bandy chce mi się rzygać". Wypowieź Pete'a pociągnęła za sobą następne. Hank, barczysty, w średnim wieku, kamerzysta innej sieci wstał ze swego znajdującego się blisko nas krzesła. "To g... coś mi przypomina", powiedział. "W kółko to samo. Tacy sami ludzie nosili znaczki z Ho Szi Minem gdy wracalem z Wietnamu".

Dziennikarz i producent z jakiejś sieci podeszli do naszej gromadki. "Czy zamierzacie poprosić Kristoffersona o opinię?" zapytałem, patrząc na siedzącego tuż obok gwiazdora. Dziennikarz spojrział nań spode łba, potem powiedział głośno: "Mam go w d...!" Producent podrapał się po brodzie i przyglądał się tak, jakby oglądał menu w oknie restauracji. "Szczzerze mówiąc, chciałbym go o coś zapytać" - powiedział. "Mam go w d...!" - powtórzył dziennikarz. "Nie ma sposobu by mnie w ten p... wywiad zrobić!". Aktor obrzucił mnie niewinnym spojrzeniem, jego włosy wzburzyły się przy tym jak welon na wietrze.

"To może być nasz najlepszy program" - powiedział Hank. Wyrzwał na zewnątrz. Młoda, bosonoga dziewczyna w koszuicy z wypisanym jakimś sloganem zaczęła joggować po gorącym chodniku. Obok nas, Willson, stojąc na protezach, gorączkowo gestykulując mówił coś do wniebowziętych słuchaczy. "Ale z tego dopiero byłby p... film" - dorzucił Hank. "Niestety, ja go nie zrobię"

Wczesnym popołudniem, tuż przed tym, jak generał Humberto Ortega ogłosił niszczące "contras" zawieszenie broni, Kristofferson i spółka zostali odwiezieni przez sandinistów z powrotem. Wyglądali na ludzi, którzy wypełnili zadanie - czegoś więcej oczekuje się od przedstawień objazdowych.

---

AMBROSE EVANS-PRITCHARD jest waszyngtońskim korespondentem londyńskiego "Spectatora" i jego dawnym korespondentem w Ameryce Środkowej.

## HOLOCAUST GORBACZOWA ROLA SOWIETÓW W GŁODZENIU ETIOPII

Michaił Gorbaczow jest współodpowiedzialny za jedną z najbardziej zatrważających tragedii XX wieku. Udziela on ogromnej militarnej pomocy rządowi Etiopii - kraju w którym w latach 1984-85 zmarło na skutek sztucznie wywołanej klęski głodu 1 mln osób, a rok 1988 szacuje się na następne 3 mln ofiar.

Gorbaczow doszedł do władzy w marcu 1985, gdy fala głodu z lat 1984-85 opadała. W tym okresie pomoc Zachodu sięgająca 2 miliardów dolarów w lekarstwach, żywności itp. ocaliła życie setkom tysięcy Etiopczyków. Sowiecka reakcja na tragedię Etiopii ograniczyła się do wysłania 3,5 tys. ton ryżu (dar raczej bezmyślny jeżeli do ugotowania 1 miarki ryżu trzeba zużyć 2 miarki drogocennej wody). Jednocześnie Kreml wydał 800 mln dolarów na sprzęt wojskowy wysyłany do Etiopii.

W roku 1988 pułkownik Mengistu Heile Mariam podjął decyzję o usunięciu z terytorium kraju pracowników międzynarodowej pomocy charytatywnej i uniemożliwieniu dotarcia jakiegokolwiek pomocy z Zachodu do północnych prowincji. Zagroziło to życiu 3 milionów ludzi. Niezmienna pozostaje natomiast gorbaczowowska pomoc militarna. Jej wartość w połowie ubiegłego roku wyniosła 800 mln dolarów. Ocenia się, że łączna wartość militarnej pomocy, jaką od 1977 roku otrzymała Etiopia od ZSSR wynosi ok. 58 mld dolarów. "Jest oczywistym faktem, że Sowietów nie wzrusza problem głodu" - mówi Haile Tassew, były wysoki urzędnik administracji Mengistu, przebywający obecnie na Zachodzie. "Interesują ich wyłącznie cele militarne i strategiczne".

### Wszystko na front

Na skutek światowej presji Gorbaczow zdecydował się na wysłanie do Etiopii 252 mln ton ziarna. Pomoc ta ma być rozprowadzana przez rządową organizację "Komitet Odbudowy i Pomocy". Pierwsze 50 mln ton dotarło na miejsce na początku czerwca 1988. Nawet ten gest świadczy o nie liczeniu się Kremla z ludzkim życiem. Wiadomo przecież, że pomoc rozprowadzana przez rząd nie dociera do nawiedzonych przez głód prowincji opanowanych przez rebeliantów. Co więcej, rządowa pomoc używana jest przez Men-

gistu jako przynęta do zwabienia Etiopczyków na tereny, skąd mogą być siłą przesiedleni na południe i zachód.

Sowiecki sprzęt wojskowy był często używany do niszczenia celów cywilnych, co przyczyniało się znacznie do nasilenia głodu. Używano go również do bombardowania i palenia środków pomocy charytatywnej na północy kraju i wzdłuż granicy z Sudanem. Te ataki wraz ze sporadycznymi atakami rebeliantów na konwoje z żywnością w ogromnym stopniu komplikują starania Zachodu. "Żywność musi być dostarczana nocą, gdyż w przeciwnym przypadku zostanie zniszczona przez wojska rządowe" - mówi antropolog Jason Clay z Cultural Survival, amerykańskiej organizacji usiłującej chronić kulturę plemienne.

W kwietniu 1988, gdy separatyści z Erytrei zabili lub wzięli do niewoli 18 tysięcy etiopskich żołnierzy, w tym trzech sowieckich doradców, podczas akcji na garnizon w mieście Afabet, Gorbaczow natychmiast wspomógł Mengistu sprzętem wartości 500 milionów dolarów. Umożliwiło to kontynuowanie działań wojennych przeciwko Erytrei. Mimo zbliżającej się następnej fali głodu Mengistu rozwinął wspieraną przez Sowietów kampanię "wszystko na front". Wezwał w niej Etiopczyków do poświęcenia miesięcznego wynagrodzenia na cele wojenne. Jednocześnie podwoił armię, wcielając w jej szeregi nawet dwunastoletnich chłopców. "Po ataku na Afabet - mówi były członek etiopskiego rządu, dr Aradam Tedla - sowieckie samoloty transportowe przybyły do Erytrei i dosłownie godzinami trwało rozładowywanie sprzętu i wojska".

#### Masowe przesiedlenia - koncepcja sowiecka

Sowieckie samoloty transportowe i ciężarówki pełnią ważną rolę w znienawidzonym przez naród programie przesiedleń i tworzenia nowych, wzorcowych osad. Do tej pory przymusowo przesiedlono 5 mln Etiopczyków. Według francuskiej grupy medycznej "Medicins sans Frontieres", realizacja tego planu pochłonęła około 100 tysięcy ofiar śmiertelnych, spowodowanych najczęściej przez cholera i inne choroby. Siłą usuwa się chłopów z ich rodzinnych wiosek, często niezagrażonych głodem, i każe im się wstępować do zorganizowanych przez rząd kołchozów, które są przeważnie mniej produktywne. Taka przeprowadzka oznacza zwykle rozłąkę z rodziną.

Chłopi poddani kolektywizacji - która stanowi istotną broń w niszczeniu potencjalnej opozycji - zmuszani są do przenoszenia całego dobytku na nowe miejsce. W kołchozie często trzeba wędrować do pracy w polu przeszło 5 km w jedną stronę - wszystko pod czujnym okiem uzbrojonego strażnika. Cały plon jest oddawany władzy. Wszyscy chłopcy zobowiązani są ponadto do uczestnictwa w indoktrynacyjnych zajęciach, gdzie wychwała się rząd Mengistu. Donosicielstwo nagradzane jest dodatkowym przydziałem żywności, a każde wykroczenie karane torturami. Dr Tedla, który obecnie przewodzi Afrykańskiej Grupie do spraw Praw Człowieka mówi: "Masowe przesiedlenia były pierwotnie zaproponowane przez sowieckich doradców". Mariam-Kidane Betrou, były ambasador Mengistu w Kairze uczestniczył w spotkaniach z sowieckimi dygnitarzami, podczas których dyskutowana była sprawa przesiedleń. Twierdzi on, że "to oni stoją za tym programem, oni ułożyli plany i dążyli do ich realizacji".

Żadnej z dotychczasowych wizyt Mengistu w Moskwie nie

towarzyszyła krytyka jego stalinowskich metod przez stronę sowiecką. W kwietniu 1987 r. cytowano co prawda wypowiedź Gorbaczowa, która brzmiała jak delikatne ostrzeżenie Mengistu, aby "uwzględnił realia i nie przesadzał z tempem rozwoju". Podczas wizyty członka Biura Politycznego Lwa Zaikowa w Etiopii we wrześniu 1987 donoszono z Addis Abeby o dość wstrzemięźliwej postawie sowieckiego dygnitarza wobec etiopskiego przywódcy. Oficjalnie jednak nikt nic nie powiedział. Betrou twierdzi, że Etiopia jest i wciąż będzie "w pełni w sowieckich rękach. Uzbrojenie dla armii Mengistu napływa stamtąd i ma on spory dług do spłacenia. Sowieccy i etiopski oficjele w Addis Abebie po prostu wprowadzają w życie rozkazy Kremla... Gorbaczow ma swoją hierarchię wartości, a pomoc żywnościowa dla Etiopii nie znajduje się w niej wysoko".

### Wielkie święto Mengistu

Według Betrou pomoc sowiecka w 1985 r. mogła w znacznym stopniu rozwiązać problem głodu. Frank Carlin, pracownik Catholic Relief Service twierdzi, iż jednym z pytań, które dręczą ludzi Zachodu zaangażowanych w pomoc dla głodujących jest: dlaczego wielki sojusznik nie zapewni koniecznej pomocy?

Sowieci robią bardzo mało dla głodujących, w zamian za to interesuje ich mocno sprawa eskalacji wojny domowej. Dr Te-dla przypomina, że rebelianci proponowali zawieszenie broni w okresie największego nasilenia głodu w 1985 r. Rząd jednak, gdy miliony ludzi umierało z głodu, rozwinął kolejną ofensywę. "Nie ma wątpliwości, że była ona pomysłem Gorbaczowa... Brało w niej udział 200 tys. żołnierzy. Była to największa jak do tej pory akcja skierowana przeciw rebeliantom, a Gorbaczow był tym, który zapalił dla niej zielone światło".

Rząd Mengistu za ważniejsze od głodu uznał nawet obchody leninowskich rocznic. W 1984 roku na przykład, gdy głód narastał, Mengistu wydał 200 mln dolarów na obchody 10 rocznicy przejęcia władzy przez komunistów. Na czas pobytu gości, wśród których można wymienić Grigorija Romanowa, Fidela Castro i Ericha Honeckera, głodujący zostali usunięci z ulic, aby mogły nimi przejechać sowieckie czołgi i rakiety podczas wielkiej defilady.

Jakby tego było mało, zarządzenia rządowe dają pierwszeństwo sowieckim i wschodnioeuropejskim okrętom ze sprzętem wojskowym podczas wyładunku w portach. Nałożono ponadto na każdy zachodni statek opłatę specjalną - 50 dolarów od każdej tony rozładowanego towaru (ci, którzy nie mogą uiścić tej opłaty, muszą wracać z powrotem z całym ładunkiem). "Zarobione" w ten sposób pieniądze wspomagają wydatnie kasy i konta milicji. Żywność przeznaczona dla ludności często dzielona jest między członków milicji, bądź po prostu gnije w dokach portowych. Na ten temat Moskwa również milczy.

Etiopia posiada urodzajne gleby i pracowity naród. Była swego czasu poważnym eksporterem żywności, lecz dziś spustoszona jest przez sztucznie stworzony głód, poparty przez sowiecki sprzęt wojskowy. Michaił Gorbaczow chce, aby świat uwierzył mu w prawdziwość "głasnosti" i w to, że zrywa on z mroczną tradycją stalinizmu. Świat ma jednak prawo pytać: Dlaczego więc nie położy on kresu etiopskiej tragedii?

### ANC W OPINII WŁASNEJ

Afrykański Kongres Narodowy (ANC) /najważniejsze źródło zbrojnej opozycji wobec reżimu w RPA/ - według swoich stronników w Kongresie USA i środkach masowego przekazu - jest ruchem z gruntu pro-zachodnim. Jego antyimperialistyczna retoryka jest podobno przejawem zdrowej potrzeby umocnienia afrykańskich nacjonalizmów, a u podstaw sojuszu ze Związkiem Sowieckim tkwią rzekomo te same motywy, którym swego czasu kierowali się Roosevelt i Churchill przy współpracy ze Stalinem. I jeśli nawet ANC, wobec nieustępliwości reżimu Pretorii, został ostatecznie zmuszony do podjęcia walki zbrojnej, to jej celem jest zagwarantowanie swobód obywatelskich i demokratycznych całej Afryce Południowej.

W tym duchu Thomas G. Karis zapewnia czytelników "Foreign Affairs", że "ani głęboki antagonizm" między ANC a Stanami Zjednoczonymi, ani pomoc, jaką ruch ten uzyskuje od Związku Sowieckiego, "nie świadczą o pro-sowieckim nastawieniu w kwestiach międzynarodowych". I pomimo "udziału Zachodu w podtrzymywaniu reżimu w Afryce Południowej", ANC jest nadal "historycznie, politycznie i kulturowo bliższy Stanom Zjednoczonym i Zachodowi niż blokowi sowieckiemu". Co do spraw wewnętrznych, celem działań ANC jest - tak twierdzi Karis - "demokratyczna, nierasistowska i niepodzielona Afryka Południowa, zaś program gospodarczy /ANC/ jest umiarkowany i pragmatyczny".

Głosy popularnej prasy liberalnej współbrzmiają z uwagami Karisa. Niedawny artykuł w nowojorskim "Times'ie", piera Johna D. Battersby'ego, podobnie jak setki innych głosi, że ANC "opowiada się za nierasistowską demokracją"; zaś Richard Manning z "Newsweeka" zapewnia czytelników, że ANC i jego legalny odpowiednik - UDF (Zjednoczony Front Demokratyczny) pragną "złagodzonej odmiany socjalizmu i demokratycznego, pluralistycznego systemu politycznego".

Mniej więcej te same opinie przeważają wśród liberatów na Kapitolu, którzy z pewnym szacunkiem przyjmują oświadczenia przywódców ANC. Dla przykładu: ostatnio w czasie przesłuchania w kongresowej podkomisji spraw zagranicznych, kongresmeni Howard Wolpe i Stephen Solarz powoływali się na autorytet



Nelsona Mandeli, więzionego od lat, założyciela zbrojnego skrzydła ANC, a także Olivera Tambo, obecnego przewodniczącego tej organizacji, argumentując na rzecz poparcia drastycznych sankcji wobec Afryki Południowej.

Tak liberalne poglądy wyłamaczy może jedynie całkowite ignorowanie jawnych dowodów wyznawania przez ANC ideologii leninowskiej, wykraczającej daleko poza czystą retorykę oraz totalitarnych celów politycznych. Materiał dowodowy - na który składają się dokumenty do użytku wewnętrznego, audycje radiowe, przemówienia, artykuły i wywiady prasowe - nie pozostawia wątpliwości co do pro-sowieckiego, a więc antyzachodniego i antydemokratycznego, charakteru ANC. Co więcej, świadczą, że niesprawiedliwość w Afryce Południowej, ani polityka Ameryki i Zachodu wobec reżimu Pretorii nie mają wpływu na wyraźnie ukształtowany światopogląd tej grupy.

Dowody na to można znaleźć już w młodzieńczych pismach Mandeli, chociaż wyraźnym momentem początkowym tego kierunku było obszerne przemówienie Olivera Tambo, wygłoszone przed Drugą Konferencją Konsultacyjną ANC, odbywającą się w Kabwe w Zambii w czerwcu roku 1985. Tambo nakreślił nieunikniony proces historyczny wiodący do wyzwolenia ludzkości spod władzy "sił imperializmu i reakcji", a co za tym idzie - do "stopniowej przebudowy świata, w tym naszego regionu, Afryki Południowej". Tambo utożsamiał "siły postępowe" walczące o przebudowę świata ze Związkiem Sowieckim i innymi państwami socjalistycznymi, z postępowymi rządami i organizacjami wyzwoleniczymi krajów słabo rozwiniętych, oraz z "ruchami demokratycznymi w krajach imperialistycznych".

Przywódcy ANC niejednokrotnie podkreślali jednolity charakter tej walki. Przemawiając w roku 1979 na spotkaniu przedstawicieli narodów niezangażowanych w Hawanie, Tambo stwierdził, że "doświadczenie nauczyło mocarstwa imperialistyczne, że zwycięstwo w dowolnej części świata staje się nie tylko triumfem wszystkich ludów walczących o zerwanie więzów imperialistycznej dominacji, ale i materialnym czynnikiem tworzenia nowych możliwości dla nowych sukcesów w walce z imperialistyczną hegemonią na całym świecie".

W rok później, występując w Sofii, na konferencji zorganizowanej przez Światowy Kongres Pokoju, Tambo oświadczył, że "znaczenie historycznego zwycięstwa narodu wietnamskiego nad wojskami okupacyjnymi Stanów Zjednoczonych i ich marionetek, przekracza fakt, że dzisiejszy Wietnam jest woiny i zjednoczony", gdyż jednocześnie "potwierdziło ono, że międzynarodowa równowaga sił zachwiała się nieodwołalnie na korzyść ruchów walczących o narodową niezawisłość i postęp społeczny, chociaż wciąż napotyka gdzieś na opór". Dalej: zwycięstwo komunistów w Wietnamie "dowodziło reakcji, że socjalistyczna wspólnota narodów, pozostała część postępowej ludzkości i światowy ruch antyimperialistyczny miały dość politycznej woli i energii, by oprzeć się wyjątkowo desperackim machinacjom sił reakcji".

Na koniec przemówienia w Kabwe, w roku 1985, Tambo połączył zwycięstwo ruchów postępowych w Indochinach z przewidywanym triumfem ANC nad imperializmem, zapewniając, że upadek amerykańskiej "polityki na polach bitewnych Indochin, a także na ulicach samych Stanów Zjednoczonych, stwarza wiele nowych moż-

liwości przyspieszenia przebudowy świata, a w tym i naszego regionu - Afryki Południowej".

Innymi słowy, walka o wyzwolenie Afryki Południowej stanowi zaledwie część wielkiego konfliktu. W opinii ANC, "wyzwolenie" Kuby, Wietnamu, Kambodży, Wschodniego Timoru, Palestyny, Salwadoru, Puerto Rico oraz Iranu, podobnie jak sowiecka odsiecz dla "demokratycznej, antyfeudalnej rewolucji w Afganistanie", to z biorowy wysiłek mający stworzyć warunki niezbędne dla jego - ANC - zwycięstwa. Z kolei wyzwolenie Afryki Południowej przez "awangardę ludu" ma odegrać istotną rolę w triumfie socjalizmu na ziemi. Dlatego Francis Meli, wykształcony w NRD redaktor naczelny miesięcznika ANC "Sechaba", mógł powiedzieć towarzyszom z Ligi Młodzieży wschodnioniemieckiej partii komunistycznej, że "udzielając nam pomocy, nie pomagacie biednym, wynędzniałym czaruchom z afrykańskiego buszu, lecz posuwacie naprzód swoją walkę we własnym kraju... gdyż wyzwolenie Afryki Południowej oznaczać będzie osłabienie międzynarodowego imperializmu".

Antyamerykanizm tego programu jest cechą charakterystyczną dla ideologii ANC. Już w roku 1953 Nelson Mandela oskarżał Stany Zjednoczone o ludobójstwo w Korei i mówił o "wysiłkach imperialistycznej Ameryki i jej satelitów, zmierzających do wciągnięcia świata w rządy napalmu, bomby wodorowej i kobaltowej, aby miliony ludzi starte zostały z powierzchni ziemi dla zadowolenia przestępczych a nienasyconych apetytów imperialistycznych potęg". W pięć lat później, Mandela scharakteryzował Plan Marshalla jako udaną intrygę amerykańską dla "zdobycia kontroli nad gospodarką krajów europejskich i zredukowania ich do pozycji państw zależnych". NATO jest, zdaniem Mandeli, "agresywnym blokiem militarnym" powołanym w celu wcielenia w życie "amerykańskich planów podboju świata". Utworzenie Biura d/s Afryki przy Departamencie Stanu oraz wizyty kilku polityków i przemysłowców z USA na kontynencie afrykańskim, uznał Mandela za jednoznaczny dowód na to, że "imperializm amerykański jest tym groźniejszy, iż... przybywa do Afryki w kunsztownym przebraniu". Mandela nie dał się zwiść wyrzeczeniu przez Amerykanów "większości środków, jakimi posługiwali się imperializm starego typu", odrzucając "politykę siły i gwałtu". Przeciwnie: świadczyło to - jego zdaniem - o tym większej zaborczości i przebiegłości USA.

Nic się nie zmieniło od czasu triumfu Mandeli. Dla Olivera Tambo często nazywanego "umiarkowanym politykiem", Stany Zjednoczone są następcą faszystowskich Niemiec w roli "ostrza międzynarodowego reakcjonizmu". NATO pozostaje "agresywnym sojuszem militarnym" i częścią amerykańskiego spisku, którego celem jest "przekształcenie wielu krajów Zachodniej Europy w wasali Stanów Zjednoczonych". "Intencje imperialistów" pod wodzą USA - "narzucania całemu światu woli własnego oręża" - są od II wojny światowej skutecznie hamowane wyłącznie "dzięki sile państw socjalistycznych, a zwłaszcza Związku Sowieckiego, i czujności światowego ruchu pokoju". Potęga amerykańska utrzymuje "uprzywilejowany status państw imperialistycznych w gospodarce światowej... czego rezultatem jest bezustanne i w coraz szybszym tempie postępujące ubożenie naszych narodów oraz ogólny regres naszych krajów /Trzeciego Świata/", a "międzynarodowe korporacje osiągają dzięki temu olbrzymie zyski".

Należy podkreślić, że wszystkie powyższe cytaty odnoszą się nie do Stanów Zjednoczonych pod rządami Ronalda Reagana, lecz do kraju administrowanego przez Jimmiego Cartera. Carter, zdaniem Tambo, doszedł do wniosku, że "jedyną metodą wprowadzenia porządku międzynarodowego, który odpowiadałby interesom imperializmu, zwłaszcza amerykańskiego, jest użycie siły w takim samym, a nawet większym stopniu, jak w szczytowym okresie zimnej wojny".

ANC nie ma również nic dobrego do powiedzenia na temat polityki wewnętrznej Stanów Zjednoczonych. Jeśli Ameryka zastępuje na miano demokracji, to tylko w sensie najwęższym. Tambo twierdzi, że w USA rządzi nie lud, lecz "klasa panująca", w której jednak znajdują się "koła zdrowo myślące", ich "reprezentantem" jest senator Edward Kennedy. Natomiast Alfred Nzo, sekretarz generalny ANC, który wiele podróżował po Stanach Zjednoczonych, w roku 1983 na obchodach setnej rocznicy śmierci Karola Marksa, zapewniał NRD-owskich przyjaciół, że polityka administracji Reagana "doprowadziła do tego, iż klasa robotnicza Stanów Zjednoczonych żyje wyłącznie dzięki darmowej misce zupy z garkuchni".

Przeciwieństwo stanowi Związek Sowiecki, który jest w tym samym stopniu anielski, jak Stany Zjednoczone - diabelskie. Dla żony Mandeli, Winnie, "Kraj Sowietów" to wciąż jeszcze "prawdziwy przyjaciel i sojusznik wszystkich uciskanych narodów, które walczą z mrocznymi siłami światowej reakcji", "pochodnia wszystkich naszych nadziei i aspiracji", "przykład, na którym powinniśmy się wzorować w naszej walce o wolność, wzór wierności internacjonalistycznym obowiązkom", a także państwo, w którym "autentyczna władza ludu przeistoczyła się ze sfery marzeń w rzeczywistość". W podobnym tonie Alfred Nzo, reprezentujący rzekomo obóz centrylistowski w łonie ANC, zapewniał XXVII Zjazd KPZR w roku 1986, że jego organizacja podziela "dumą wielonarodowościowego ludu Sowietów z ogólnych osiągnięć waszej socjalistycznej ojczyzny, gdyż przyczyniają się one do dalszego umocnienia waszego kraju, będącego ręką mią pokoju, bezpieczeństwa i szczęścia całej ludzkości".

Można powiedzieć, że ANC bardziej trzyma się linii sowieckiej niż niejedna partia komunistyczna Europy Zachodniej: konsekwentnie popiera każdy manewr i inicjatywę polityczną ZSSR, z inwazjami na Czechosłowację i Afganistan włącznie. Działający przywódcy ANC potępią Solidarność jako siłę reakcyjną, a Oliver Tambo przypisuje "skomplikowaną sytuację, jaka powstała w Polsce" "zdecydowanym wysiłkom" administracji Reagana, mającym na celu "cofniecie socjalizmu, zanegowanie zwycięstwa ruchu narodowo-wyzwoleńczego i zmuszenie narodów świata do uległości wobec imperializmu". "Ofensywa przeciwko demokratycznemu Afganistanowi" jest częścią tej samej konspiracji. —

Jeszcze w roku 1962 Nelson Mandela pisał, że zastosowanie "wielkich zdobywców genjuszy rewolucji, takich jak Marks, Engels, Lenin i Stalin" uczyniłoby Afrykę Południową krainą pokoju, wolności i obfitości:

"Pod rządami partii komunistycznej Afryka Południowa zmieni się w kraj mlekiem i miodem płynący. Nie tylko biali cieszyć się będą prawami politycznymi, ekonomicznymi i społecznymi. Biali i nie-biali będą z nich korzystać po równo. Ziemi i domów

starczy dla wszystkich. Zniknie bezrobocie, głód i choroby. Robotnicy otrzymywać będą godziwe pensje, komunikacja będzie tania, a nauka bezpłatna. Skończą się przepustki, kontrole przepływu ludności, akcje policyjne związane z przepustkami i podatkiem wyborczym, a Afrykanle, Europejczycy, Kolorowi i Hindusi, żyć będą w pokoju i idealnej harmonii".

W świetle tych poglądów rozpatrywać należy dzisiejsze stosunki między ANC a resztą Afryki.

Okazało się - wbrew powszechnemu mniemaniu - że niektóre państwa afrykańskie mają się całkiem nieźle od czasu odzyskania niepodległości: Botswana rozwija się, Freedom House zalicza ją do krajów niezależnych - chociaż w niewielkim stopniu. Senegal i Gambia zbliżają się do kategorii wolnych krajów, a ich sytuacja gospodarcza jest nienajgorsza. Znaczący postęp ekonomiczny odnotowuje się w Kamerunie, a Felix Houphouët-Boigny, nie uciekając się bynajmniej do rządów twardej ręki, dokonał istnego cudu gospodarczego w Wybrzeżu Kości Słoniowej.

A jednak nie te kraje stanowią dla ANC inspirację swoich wizji przyszłości Afryki Południowej, lecz najbardziej brutalne, niekompetentne, powodujące głód i dławiące wolność jednopartyjne reżimy kontynentu afrykańskiego. Organizacja utrzymuje serdeczne stosunki z ludobójczym rządem Mengistu w Etiopii - gospodarzem ANC-owskiego Radia Wolność (Radio Freedom) - i z Tanzanią kierowaną przez Juliusa Nyerere, gdzie ANC założył dwie uczelnie partyjne, stosując indoktrynację w stylu tanzańskim. Biuro polityczne i dowództwo militarne skrzydła ANC, Umkhonto we Sizwa (co w języku Zulusów znaczy "Włócznia Narodu" i często określane jest skrótem MK), mieszczą się w Zambii, w zamian za gościnę ANC głosi pogląd, że przyczyną szybko postępującego upadku gospodarczego tego kraju pod rządami prowadzącego politykę intensywniej kolektywizacji Kennetha Kaundy, są skutki "kapitalistycznej eksploatacji" i "kolonializmu".

Jednak najbliższe stosunki łączą ANC z jawnie leninowskimi państwami: Angolą i Mozambikiem, których władze nie dały swoim społeczeństwom nic prócz upadku ekonomicznego, klęski głodu i totalitaryzmu, osłabionego jedynie przez korupcję i niekompetencję. Zarówno rządząca w Angoli MPLA, jak i Frelimo w Mozambiku, zredukowały sądy, prasę, związki zawodowe, życie gospodarcze - krótko mówiąc: całe życie społeczne - do własnych agentur. Żaden z wymienionych reżimów nie toleruje najmniejszego nawet przejawu opozycji, czy choćby neutralności, a wymiar sprawiedliwości stanowią trybunały rewolucyjne i wyjątkowo okrutne "obozы reedukacji", w których przetrzymuje się tysiące więźniów politycznych. W 1975 roku, z chwilą uzyskania niepodległości, oba kraje były rolniczo samowystarczalne; dzisiaj produkcja rolna w każdym z nich spadła co najmniej o połowę. W obu przypadkach reżimy utrzymują się przy władzy dzięki wielotysięcznym obcym oddziałom wojskowym i obfitej pomocy militarnej ze strony Sowietów.

Oto co pisze Carmen Bader z francuskiego tygodnika "L'Express" o stolicy Mozambiku, Maputo:

"Aktywność gospodarcza spadła w ciągu jednego roku o 20%. Brakuje wszystkiego: kawy, oliwy, mąki, mięsa, paliwa silnikowego, części zamiennych. Kartki na racjonowane towary wydane ubiegłego lata, tracą ważność niewykorzystane, bo towarów nie

ma. Sprawa wyżywienia stała się istną obsesją dla tych wszystkich, którzy nie mogą kupować za twardą walutę - dolary, albo południowoafrykańskie randy - w sklepach dla cudzoziemców "Ioja Franca", w których 90% towarów pochodzi z odszalonej od czci i wiary RPA. Funkcjonariusz państwowy, zarabiający trzykrotną pensję minimalną, prosił mnie z wielkim zażenowaniem, żebym mu odsprzedał kawałek mydła. Dolar wart jest czterdzieści razy tyle, co przy wymianie ofiacjalnej".

W Luandzie, stolicy Angoli, warunki życia są podobne. Oto ich obraz przedstawiony w wydanej w roku 1983 książki Davida Lamba, dziennikarza "Los Angeles Times":

"Mozaikowe chodniki popękały, w szczelinach widać kamienie i ziemię; na ulicach wala się pełno śmieci. Mieszkania w drapaczach chmur zaanektowali dzicy lokatorzy, w korytarzach śmierdzi moczem, na balkonach wisł pranie. Po opuszczonych restauracjach grasują szczury, a brudne, poszarpane markizy, zwisają jak szmaty nad wystawami w zaduchu popołudniowego upału. Parki zarosły, na ulicach rdzewieją karoserie samochodowych wraków, a równo o piątej rano, kiedy kończy się godzina policyjna, kobiety ustawiają się w kolejkach po bochenek chleba albo puszkę mleka w proszku, importowanego z Brazylii. Do południa kolejki rozrastają się na długość ulic...

Zamykano sklep po sklepie; okna wystawowe powybijano i zabito deskami. Neony pobłyskiwały tajemniczo nad pustymi od lat salonami wystawowymi firm IBM, Sony i Singer. Pracownicy hotelowi drzemali w recepcjach, a urzędnicy państwowi nudzili się za biurkami ogołoconymi z telefonów, maszyn do pisania, a nawet ołówków i papieru. Windy tkwiły między piętrami, tam, gdzie się zatrzymały dwa lub trzy lata temu; klimatyzator krztusił się i charczał, pluł i co chwila ział gorącym powietrzem.

W pokoju hotelowym (40 dolarów za dobę) tkwiła wydieszka tej oto treści: "Prośba nasza poddyktowana jest wielką trudnością z uzupełnianiem przedmiotów zaginionych lub zniszczonych. W razie gdyby sz. pan potrzebował ręcznika, prosimy zwrócić się o w/w do portiera". Dowcip w tym, że hotel nie dysponował portierem, tak samo jak nie dysponował bieżącą wodą, ani jedzeniem w restauracji - chyba, że za takowe uznamy zupę z chlebem".\*

A jednak Oliver Tambo widzi w tym jedynie świetlane przykłady "władzy ludu" w praktyce. "Postępy poczynione w Angoli i Mozambiku w kierunku całkowitej emancypacji narodowej i społecznej" są zbieżne z programem ANC, który zakłada "demontaż kolonialnej struktury ekonomicznej i wprowadzenie nowego ładu społecznego na tym obszarze, a tym samym "położenie kresu ustawicznemu płądowaniu naszego regionu przez międzynarodowy kapitał". Przykłady Frelimo i MPLA nie tylko nie podziały na ANC odstraszaająco, ale wręcz wytyczyły Kongresowi i innym ruchom zwyciężczym drogę do emancypacji całego regionu:

"Rozważając okoliczności i warunki dojścia do władzy Frelimo i MPLA w swoich krajach, NEC /Narodowy Komitet Wykonawczy ANC/ doszedł do wniosku, że w Afryce Południowej narodziła

---

\* The Africans (Random House, 1983). David Lamb jest bacznym obserwatorem warunków afrykańskich; twierdzi on jednak, że MPLA i tym podobne reżimy mogą odejść od obecnej ideologii kiedy zrozumieją, jak katastrofalny wpływ może mieć kolektywizm na przeciętnego mieszkańca Afryki. W związku z tym uważa, że USA powinny wyciągnąć przyjazną dłoń do reżimu MPLA i zabiegać o zdobycie zrozumienia Afrykańskiego Kongresu Narodowego".

się nowa odmiana władzy państwowej. Stosunki społeczne zmieniły się całkowicie. Dla ludów Południowej Afryki, Mozambiku i Angoli stanowiły najnowsze przykłady dowodzące, że stosunki wyzwisku są jedynie fazą przejściową w rozwoju społeczeństwa ludzkiego".

A to dlatego - głosi Chris Hani, nowy szef sztabu MK, zbrojnego skrzydła ANC - że świetlane przykłady Angoli i Mozambiku oznaczają "zagładę tego typu kontroli i dominacji, jakie kraje imperialistyczne uprawiały na naszym kontynencie"; świadczą o tym, że imperializm ucieka się obecnie do "działań destabilizujących, formowania bandyckich ugrupowań, finansowania i wyposażania... takich organizacji jak UNITA i MNR, aby uniemożliwić, oddalić... rzeczywistą niepodległość polityczną i ekonomiczną".

Z tego samego powodu, dodaje Hani, imperializm usiłuje osłabić "sojusz sił wyzwoleniczych w naszym kraju" między ANC a południowoafrykańską partią komunistyczną, a także porozumienie ze Związkiem Sowieckim - a przecież oba te sojusze umożliwiają ANC trwanie na gruncie założeń, że "majątek naszego kraju, kopalnie naszego kraju, fabryki i ziemia naszego kraju, zostaną z powrotem oddane ludowi, któremu były zrabowane" - a przynajmniej jego awangardzie.

Z faktu, że Chris Hani i inni przywódcy ANC przywiązują ogromną wagę do porozumienia z partią komunistyczną Południowej Afryki (SACP), wynika argument, który często wytacza się przeciwko tej grupie, a który należy zdyskontować jako przesadny i nieistotny. To nieprawda, że ANC jest "manipulowany" przez grupkę białych komunistów podległych Moskwie. Organizacja ta w żadnym razie nie spełnia roli frontonu SACP i twierdzenie, że tak jest, byłoby nieporozumieniem.

ANC powstał jako ruch czarnych Afrykanów na rzecz pokojowego uzyskania praw obywatelskich, a z czasem również i politycznych, dla czarnych mieszkańców Południowej Afryki. Stopniowo jednak władzę w ANC przejęli przywódcy (przeważnie czarnoskórzy) o przekonaniach leninowskich - częściowo dzięki strategii infiltracji i aktywnym zabiegom Moskwy, przede wszystkim jednak za sprawą mniej lub bardziej naturalnego procesu politycznej osmozy. Trzeba przyznać, że duże zasługi w procesie leninizacji ANC położyła Pretoria, która w latach 50-tych zakazała działalności ówczesnemu przesewi organizacji o poglądach umiarkowanych - wodzowi Albertowi N. Luthuli - tym samym dopuszczając do władzy w ruchu Mandelę, Tambo, Waltera Sisulu, J.B. Marksa, Joe'go Slovo i im podobnych, którzy wzięli ostry kurs na lewo.

Południowoafrykański Departament Bezpieczeństwa Narodowego ustalił liczbę komunistów wybranych w roku 1985 do 30-osobowego Narodowego Komitetu Wykonawczego ANC na 19, co w zasadzie znajduje potwierdzenie w dokumencie CIA przedstawionym w "Congressional Record" (14 sierpnia 1986) przez senatora Jesse Helmsa. Jednak Thomas G. Karis utrzymuje, że w Komitecie Wykonawczym jest zaledwie trzech niekwestionowanych komunistów. Rzecz jest w gruncie rzeczy bez znaczenia: nieważne, czy Oliver Tambo, dajmy na to, należy do SACP, czy też nie (i tak jest członkiem sterowanej przez Sowiety Światowej Rady Pokoju). Sprawa ta przypomina analogiczne kwestie dotyczące Castro, san-

dinistowskich commandantes, pułkownika Mengistu, przywódców Frelimo i MPLA: wszyscy oni byli założycielami ruchów, które (bez względu na to, czym były, lub udawały, lub początkowo, że są), przerodziły się w rządzące partie komunistyczne poszczególnych krajów. Ważne, że obecne przewodztwo ANC przyjęło w całości terminologię, definicje, program polityczny, taktykę i cały bagaż ideologiczny stanowiący kwintesencję leninizmu.

To samo można powiedzieć o kadrach ANC. Komisarze polityczni MK wysyłani są do Związku Sowieckiego lub jego satelitów na szkolenia ideologiczne, a następnie, po powrocie, indoktrynują wszystkich bojowników MK i kadrowców ANC - jest to warunkiem członkostwa. Z chwilą, gdy zaakceptują ideologię, sprawa przynależności do SACP przestaje mieć znaczenie. Na przykład, były szef kadr ANC, Ephraim Mfalipitsa, wspomina, że uczono go, iż "po rewolucji narodowej następuje tak zwana rewolucja socjalistyczna" i że "ta rewolucja socjalistyczna rozpocznie się od dyktatury proletariatu".

Nawet jeżeli mówienie o manipulowaniu ANC przez SACP jest pewną przesadą, to pokrewieństwo ideologiczne, wzajemny podziw i duch serdeczności, które je łączy, dowodzą, jak wiele mają one ze sobą wspólnego. Pismo ANC "Sechaba" przyrównuje SACP i ANC do "dwóch rąk tego samego ciała", chociaż stosunek między nimi najlepiej chyba wyraża język teologiczny synodu w Chalcedonie z V wieku: koegzystują w stanie doskonałej unii hipostaticznej, zachowując odrębne natury organizacyjne, lecz posiadając wspólną wolę. Sztyniejsza struktura organizacyjna SACP wyjątkowo dobrze odpowiada tajnym zadaniom tej partii, ale nie oznacza to bynajmniej, aby ANC był w tym sojuszu partnerem podrzędnym. "Polityczną awangardą klasy robotniczej jest CP /partia komunistyczna/, zaś awangardą narodowego ruchu wyzwolitego jest ANC" (Radio Freedom, 23 sierpnia 1986). Trudno o doskonalszą harmonię.

Wiele daje też do myślenia jawna pogarda i nienawiść, z jaką ANC traktuje wszelkie pozostałe południowoafrykańskie nurty polityczne, a także uporczywe twierdzenie, że "wszystkie patrioci Południowej Afryki... muszą znaleźć swoje miejsce w rewolucji pod sztandarem ANC".

Jakkolwiek ANC na razie milczy lub unika jednoznacznych wypowiedzi na temat państwa jednopartyjnego w przeciwieństwie do wielopartyjnego, wydaje się oczywiste, że pierwsza część alternatywy jest co najmniej zbieżna z ANC-owskim pojęciem demokracji.

Oczywiście, Karta Wolności ANC z roku 1955 gwarantuje wolność słowa i zrzeszeń - w takim zakresie, w jakim je pojmują ANC. Jednak ten sam dokument zapewnia, że "wszystkie grupy narodowe będą prawnie chronione przed obrażą godności rasowej i narodowej", w związku z czym staje się całkiem zrozumiałe, że "głoszenie i praktykowanie dyskryminacji narodowej i rasowej, a także pogarda, karane będą śmiercią". Narodowy Komitet Wykonawczy ANC potwierdził to zobowiązanie w styczniu 1987, obiecując zakaz wszelkiej zorganizowanej propagandy "faszyzmu, rasizmu i etnicyzmu" w wyzwolonej Afryce Południowej. Rzecznik prasowy ANC wypowiedział się w tym samym duchu, pisząc do "New York Times'a" wyjaśnienie, dlaczego Kongres nie zamierza korzystać z modelu "demokracji praktykowanej w Stanach Zjednoczo-

nych":

"... nie interesuje nas demokracja, która chroni Ku Klux Klan, partie faszystowskie, komitety białych obywateli, itp. W naszej przyszłej wolnej Afryce Południowej prawa chroniące wolność słowa i stowarzyszeń z pewnością nie obejmą propagandy popierającej aparthei ani broederbond. Nasi ludzie nie muszą się chyba z tego tłumaczyć".

To stanowisko przywodzi na myśl esej nie żyjącego już historyka E.H.Carra, w którym odmowę uznania faszyzmu przez "sowiecką demokrację" przeciwstawia się - na niekorzyść tej drugiej - "nielogicznej" anglo-amerykańskiej tezie, w myśl której "demokracja toleruje nawet wrogich sobie dysydentów". Należy zauważyć, że ANC nie tylko w całości podziela zdanie Carra o Związku Sowieckim, ale jednocześnie, wyłączając rasizm z ram tolerancji, określa go w sposób zbliżony do Carrowskiej definicji faszyzmu. W opinii ANC, wszystkie południowoafrykańskie siły, które nie reprezentują linii politycznej ANC, są bądź to rasistami, bądź też pachotkami rasizmu.

Dlatego Oliver Tambo oświadczył, że "lepszemu życiu w naszym kraju" zależy nie tylko od "zlikwidowania dyktatury białej mniejszości", lecz i "ich sługusów, jak Buthelezi, Mangope, Matanzima, Rajbansi i wszystkich innych sprzedawczyków, którzy przehandlowali należne im z urodzenia prawa za miskę zupy" - co odnosi się kolejno do przywódców politycznych kwaZulu, Bophuthatswany, Transkei, a także przewodniczącego Rady Indyjskiej Południowej Afryki. Miano "pachotka i marionetki reżimu Zachodu i Pretorii" stosowane jest przez ANC szczególnie często w odniesieniu do wodza Mangosuthu Buthelezi'ego - człowieka, który przez całe swoje życie walczył z apartheidem, który nie zgodził się, aby Pretoria narzucała pseudo-niezależność kwaZulu, i który wręcz nawołuje do przywrócenia legalności ANC. Jego "system pro-inwestycyjny i wolnokonkurencyjny", jak twierdzi ANC, "ma na celu zniszczenie ruchu związkowego i wzmocnienie wyzysku ciężko pracujących mas ludowych", zaś jego organizację polityczną Inkatha, liczącą ponad milion płacących składki członków, określa się jako "terrorystyczną".

Również wroga apartheidowi Federalna Partia Postępu (PFP), scharakteryzowana przez ANC jako "tak zwana opozycja w rasistowskim parlamencie", nie zastępuje rzekomo na przetrwanie w wyzwolonej Afryce Południowej, jako że "chętnie usprawiedliwia zbrodnie apartheidu w imię prawa i porządku. Projekt Inkatha, zakładający powstanie nierasistowskiego państwa w Natalu, jest spiskiem uknutym dla "zahamowania walki i stworzenia warunków faszystom Bothcie, Butheleziemu i Slabbertowi... w celu narzucenia naszym ludom tak zwanego rozwiązania reformatorskiego, które pozostawiłoby system apartheidu w stanie nienaruszonym". PFP i sektor przemysłowy Południowej Afryki "chcą zreformować apartheid w taki sposób, by powstał system zabezpieczający ich interesy, ale bez dyskryminacji rasowej", a przeciw "apartheid bez dyskryminacji rasowej" nie przestanie być apartheidem.

Pojęcie ograniczonej władzy rządu i ochrony praw mniejszości są całkowicie obce ANC. Fakt, że biali liberałowie domagają się ochrony praw mniejszości, świadczy o "szaleństwie białego człowieka", jak twierdzi Winnie Mandela na łamach liberalnego johannesburskiego pisma "Star": "Kimże oni są, żeby okre-



ślać rozmiary władzy, której domagamy się my, większość tego kraju?" W końcu "władza należy do ludu", a dokładniej do "tych z czarną skórą i czarnymi rękami - to oni zadecydują o jej podziale". Jedynym tematem, na który ANC skłonny byłby dyskutować jest "mechanizm przekazywania rządów zwyciężającym masom prowadzonym przez swój ruch awangardowy" - to zaś oznacza bezwarunkowe oddanie nieograniczonej władzy nad całym społeczeństwem Afryki Południowej w ręce ANC.

Na przełomie wieku, francuski filozof socjalistyczny, Jean Jaures, ostrzegał, że "jeżeli politykom i administratorom, którzy już kontrolują dyplomację narodową i wojsko, da się jeszcze do ręki władzę nad całą siłą roboczą; jeżeli na wszystkich szczeblach wyznaczą oni zarządzających tak jak teraz mianują oficerów w armii, to garstka ludzi zgromadzi w swoich rękach władzę, o jakiej się nie śniło azjatyckim despotom - gdyż ci kontrolowani jedynie zewnętrznie przejawy życia publicznego, a nie gospodarke własnych krajów". Sidney Hook w swojej autobiografii, "Out of Step" ("Nie w nogę"), boleje nad tym, że socjaliści z lat jego młodości nie potrafili "z większą powagą odnieść się do problemu obrony praw człowieka przed agresją państwa - zwłaszcza takiego, które dzierży cugle władzy zarówno ekonomicznej, jak i politycznej". Dzisiejsi marksiści-leniniści Trzeciego Świata - socjaliści z ANC - za nic mają takie niebezpieczeństwo, utożsamiając wolność, postęp i szczęście ludzkości z nacjonalizacją gospodarki, a siłę kraju - z siłą ludu, pod warunkiem, że państwo będzie, rzecz jasna, w rękach awangardy tego ludu.

ANC odrzuca koncepcje współwłasności robotników, samorządu i współstanowienia. Karta Wolności obiecuje, że "złoża mineralne, banki i monopol przemysłowy przejdą w ręce ludu jako całości". Oliver Tambo, w ramach ANC-owskiego programu minimum, domaga się stanowczo odzyskania dla afrykańskiej większości ziem odebranych jej przez "białych rasistowskich farmerów" i ostrzega, że "kwestia ziemi musi zostać rozwiązana, w razie potrzeby - środkami bezwzględnymi". Wielka produktywność tych farm pod rasistowskim zarządem nie robi na Tambo wrażenia - nie wie on, jak się zdaje, że gospodarstwa rolne Western Cape założone zostały jeszcze przed spotkaniem Burów i Bantu. (Nawet farmy założone w czasie Wielkiego Trąku (Wielkiej Wędrowki) sięgają czasów tuż po całkowitym wyludnieniu Natalu, Oranii i wielkich obszarów Transwalu przez Mfecane i po łupieżczych napadach króla Zulusów Czaki - w zadawaniu tych klęsk biali w ogóle nie brali udziału).

ANC podejmuje się osobiście zarządzać sektorem rolnym i wykształcił już w tym celu liczne kadry. Za próbkę przyszłej sytuacji rolnictwa w Ludowej Republice Południowej Afryki można już dziś uznać gospodarstwo Chonglea - należący do ANC kołchoz o powierzchni 2.900 ha, położony w Zambii 40 km na północ od Lusaki. ANC wydzierżawił ziemię, a rzady Norwegii i Szwecji przysłały najnowszy sprzęt do produkcji rolnej. Przedsiębiorstwo co roku ponosi wielkie straty finansowe, pokrywane przez skandynawskich mecenasów ANC, mimo, że kołchozowa siła robocza jest bezліtośnie wykorzystywana, mieszka w nader prymitywnych warunkach i pobiera najniższą zambijską pensję - dniówka wynosi 84 centy.

Aaron Mafaje, zarządca Chonglei, szkolony w NRD, nie zraża się trudnościami. Zapytany, jaki system proponuje ANC rolniczej Afryce Południowej, odpowiedział: "Osobiście chyba bym nie popierał własności prywatnej. Uważam, że gospodarstwa państwowe dobrze obsłużą masę". Można więc być pewnym, że ANC zastосуje tę samą politykę rolną, która przyniosła klęski głodu innym krajom Afryki, a reżim rewolucyjny oskarżać będzie Zachód i wzywać go do łagodzenia powtarzających się kryzysów.

ANC zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństw wiążących się ze zbyt wielką niezależnością sektora nieupaństwowionego (butiki? restauracje? warsztaty naprawy rowerów? dziesięcioakrowe działki?). Dlatego w Karcie Wolności znajduje się postulat, aby ta sfera gospodarki była "ściśle kontrolowana", a nie tylko regulowana, tak aby mogła przyczynić się do powszechnego dobrobytu".

Aby sprostać tym zamierzeniom - czytamy w dokumencie wydanym w roku 1982 przez uczelnię ANC - Solomon Mahlangu Freedom College - należy "stworzyć nowy system edukacji", który by zniósł "sztuczny rozdział nauki od polityki, a zwłaszcza tendencję do podkreślenia aspektu akademickiego kosztem politycznego". Ideologicznie słuszne nauczanie ma odegrać ważką rolę w realizacji i konsolidacji programu politycznego ANC "w fazie tuż po wyzwoleniu", co opisane zostało następująco:

"Doświadczenia walczących ludów całego świata (Wietnam, Angola, Mozambik, Etiopia, Afganistan, Nikaragua) wykazały, że walka ludu o niepodległość i wolność nie kończy się z chwilą przejścia władzy politycznej. Władza ekonomiczna musi przejść w ręce ludu! W tej fazie naszej rewolucji, którą jest okres tuż po wyzwoleniu, podejmujemy walkę z ignorancją, zacofaniem, ubóstwem i siłami reakcji, które dokładać będą wszelkich starań, aby zawrócić koło historii. Do nas należeć będzie umocnienie władzy ludowej!"

Na koniec wspomnieć wypada o ANC-owskiej polityce gwałtu i o metodzie "kołnierzyka" (która polega na uśmiercaniu ludzi przez podpalenie nałożonej na szyję oblanej benzyną opony). Biorąc pod uwagę obecne niesprawiedliwości, trudno we wszystkich przypadkach winić ANC za uciekanie się do przemocy i sabotażu - zakładając nawet uczciwe intencje post-rewolucyjnego porządku. Należy też oczekiwać licznych gwałtów ze strony oddziałów guerilli, pomimo nawet ich słusznych intencji. Jednak akty terroru dokonywane przez ANC i MK przekraczają wszelkie dopuszczalne granice.

ANC podkładał bomby w wielkich sklepach, na placach i ulicach pełnych przechodniów, w miejscach, które trudno uznać za obiekty militarne lub przemysłowe, i w dodatku ogłaszał to przez Radio "Wolność". Wbrew oświadczeniu premiera Zimbabwe, Roberta Mugabe, zamieszczonym na łamach "Foreign Affairs", pochwała metody "kołnierzyka" jako narzędzia wyzwolenia wygłoszona przez Winnie Mandelę na zakończenie jej słynnego wystąpienia w Munsieville, nie jest niczym nowym w kontekście działalności ANC. Dla tego sposobu niezmiennie wyraża uznanie "Sechaba", Radio "Wolność" i popiecznicy ANC spoza organizacji. "Sechaba" na przykład, napawa się wizją "kołaborantów i donosicieli", żyjących "w strachu przed bombami benzynowymi, które mogą w każdej chwili spaść na ich domy i zamienić je w ruiny, albo...

przed benzyną oblewającą ich zdradzieckie ciała, zanim spłoną na zwęglone, godne pogardy szczątki".

Lecz jeszcze straszniejszy od nieludzkiej metody "kołnierzyka" jest dobór ofiar, wskazujący na totalitarne upodobania prześladowców. Sterowani, a przynajmniej inspirowani przez ANC "towarzysze" palą ludzi za takie głupstwa jak odmowa udziału w bojkocie "białego sklepu", albo nieobecność na ANC-owskim pogrzebie. Wskazuje to na fakt, że ANC nie ma zamiaru tolerować neutralności oraz osób, które nie uczestniczą w walce.

Mimo to, ANC zbiera dziś na Zachodzie honory, począwszy od studenckich piosenek na amerykańskich uczelniach, aż po brązową statuetkę Nelsona Mandeli, którą odstąpił w Londynie szef brytyjskiej partii pracy, Neil Kinnock.. Tymczasem pro-zachodni demokraci południowoafrykańscy, tacy jak Buthelezi i biskup Isaac Mokoena, traktowani są przez wielką część opinii publicznej Zachodu w sposób odpowiadający życzeniom ANC.

Ponieważ prestiżowa prasa i wielu liberalnych polityków ustawiło ANC na świeczniku, trudno dziś głosić prawdę o totalitarnym charakterze tej organizacji, nie narażając się na krytykę i nie napotykając na trudności. Jednak dobrze by było, aby amerykańscy eksperci i politycy, którzy nie ustają w wychwalaniu inteligencji i erudycji Nelsona Mandeli i Olivera Tambo, pamiętali o tym, że George McGovern swego czasu zaliczał Czerwonych Khmerów do "najlepiej wykształconych, najbłyskotliwszych intelektualistów Kambodży".

GORBACZOWOWSKA POLITYKA RELIGIJNA

Wydawać by się mogło, że tradycyjnie wrogi stosunek sowieckich władz do religii poddaje się pierestrojce. W ciągu ostatnich dwóch lat Partia mnożyła gesty dobrej woli w stosunku do kościołów. Kaplice i klasztory powróciły w ręce Kościoła Prawosławnego. Wśród nich znajduje się klasztor świętego Daniela, który przeznaczony został na centrum administracyjne Patriarchatu Moskwy. Będzie się ono zajmowało jedną z najważniejszych dziedzin - sprawami międzynarodowymi. W Moskwie zniesiono zakaz rejestracji chrztów i ślubów kościelnych. Prowadzone są również rozmowy na temat zmiany położenia prawnego religii, a nawet na temat nadania parafiom osobowości prawnej. Środki masowego przekazu donoszą czasami o biurokratycznych zaporach wstrzymujących rejestrację wspólnot religijnych, a przy okazji daje się prawo do wypowiedzi samym dygnitarzom kościelnym. Arcybiskup Pitirim pojawia się w sowieckiej telewizji, apelując o głośność i pierestrojkę, a jednocześnie przegląd "Komunist" (nr 4 1988 r.) sugeruje, że wierzący mogą być nawet poważanymi obywatelami. Wkrótce zostanie otwarta w Moskwie restauracja żydowska z kosztownymi potrawami. Gorbaczow podejmował z wielką pompą na Kremlu patriarchę Pimena i hierarchię Kościoła Prawosławnego.

Jakby tego było mało, jesteśmy świadkami, jak od kwietnia 1987 płynie przez Moskwę strumień religijnych osobistości: Matka Teresa, kardynał Filipin Jaime Sin, Dali Lama, biskupi francuscy, delegacja Światowej Konferencji Islamskiej /1/. To wystarczyło, aby zachodnie środki masowego przekazu zaczęły mówić o "historycznym kompromisie" pomiędzy reżimem komunistycznym, a wierzącymi i chwalić nowatorskiego ducha Michaiła Gorbaczowa. Warto więc przyrzeć się nieco bliżej sowieckiej polityce religijnej w erze pierestrojki, aby uniknąć pochopnych sądów, a zwłaszcza dlatego, że jest ona typowa dla ogólnej taktyki i strategii Gorbaczowa.

Czym więc jest Kościół Prawosławny w oczach partii? Na to pytanie jednoznaczna odpowiedź daje gazeta "Prawda" w jednym ze swoich komentarzy /2/:

Odkąd Kościół prawosławny zaczął działać w naszym społeczeństwie, jego rola uległa istotnym zmianom. Pierwotnie był to kościół feudalny, państwową instytucją imperium rosyjskiego, broniąca interesów wyzykiwaczy i żyjąca kosztem mas. Obecnie przemienił się on w dobrowolną organizację ludzi wierzących, niezależną od państwa i finansowaną przez swoich członków. Jego obszar wpływów i pole działalności maleją. W odróżnieniu od pierwszych lat rewolucji, kiedy to Kościół prawosławny bronił antysocjalistycznych pozycji i przeciwstawiał się sile ludu, współcześnie uznaje on socjalistyczną władzę... Ten fakt głębokich zmian, bez precedensu w historii religii, wykazuje głębię i radykalizm socjalistycznych reform, skoro dotknęły one nawet tak konserwatywną instytucję, jaką jest Kościół. Widzimy więc, że należy odrzucić podstawową zasadę teologii, według której Kościół założony jest przez Boga.

Ostatnie zdanie jest szczególnie demaskatorskie. Sowietki reżim potrzebuje prawosławia nie tylko do wspierania jego wewnętrznych i zewnętrznych posunięć. Kościół musi być jeszcze słuźalczy i zakłamanym - aby mógł wykazać "przez kontrast" wartość koncepcji materializmu historycznego. Skoro Bóg oddaje swój Kościół w ręce ateistycznego państwa, to znaczy, że Bóg po prostu nie istnieje.

Zaszczyty zaoferowane przez Kreml patriarchom prawosławnym, w zamian za publiczne poparcie pierestrojki i rozbrojenia, stanowią element antyreligijnej bitwy prowadzonej przez Gorbaczowa i jego ekipę. To nie kto inny jak Gorbaczow powiedział (Taszkient, listopad 1986): "...musimy prowadzić wytrwałą i bezpardonową walkę z religią. W tym celu musimy wzmocnić naszą propagandę". Prezentowanie w telewizji Patriarchy Pimena, mówiącego w czystej komunistycznej nowomowie, jest skuteczniejsze niż setki konferencji na temat nieuczciwości kapłanów i "służby religii dla militarystyki i reakcji". Kogóż bowiem przekonuje Patriarcha, kiedy gratuluje sobie faktu, że "...życie duchowe staje się wciąż bogatsze i głębsze, a moralność wzbogacona została o nowe znaczenia..."?/3/ Analogicznie cóż dobrego może być w pokazaniu postaci Chrystusa na scenie - przykład realizacji noweli Aitmatowa "Szafot" - jeżeli wkłada się przy tym w jego usta slogany z "Prawdy". /4/

Jednak nie stosunek do oficjalnych kościołów - który ukazuje jedynie rąbek "partyjnej sutanny" - może być miarą obecnej polityki sowieckiej w stosunku do wierzących. Znacznie bardziej adekwatnym miernikiem jest stosunek do niezarejestrowanych sekt i do dysydentów wewnątrz oficjalnych kościołów. Równie ważne są instrukcje dla propagandy i analizy prezentowane przez partyjnych ideologów. Zaczniemy od tych ostatnich:

Religijne nawrócenie związane jest nie tylko z tradycją, lecz również z ograniczeniem zakresu ludzkiej działalności. Nie można nie dostrzegać, że proces społecznych deformacji wszelkiego rodzaju przyczynił się w istotny sposób do zachowania postaw religijnych w naszym kraju. /5/

Zuchwałość sowieckiego teoretyka wyraża się tutaj w zastosowaniu marksistowskiej wizji religii - "opium dla ludu" - do komunistycznego społeczeństwa. Wiara rozprzestrzenia się, ponieważ ludzie, ufający obietnicy lepszego świata, pocieszają się religią widząc słabość teraźniejszości. "Społeczne przyczyny" postaw religijnych nie tylko nie znikły, lecz stały się odczuwalne bardziej niż kiedykolwiek. Jeszcze inne sprawy niepokoją naszych teoretyków:

Na skutek moralnych problemów współczesnego społeczeństwa, niezliczonych przypadków duchowej pustki, korupcji, bezprawia - pewni ludzie, którym brak niewzruszonych zasad, tłumaczą sobie, że to kościół stanowią kiedyś zapórę dla zła i wzywają do powrotu do religijnej moralności... Zbliżająca się 1000 rocznica Chrztu Rusi sprzyja rozpowszechnianiu się tego stanu umysłu. Koniecznym staje się więc wyjaśnienie tego zjawiska z punktu widzenia marksizmu-leninizmu. Bez idealizowania czy też ocenzuriania. W szczególności należy zwrócić uwagę na fakt, że to nie religia dała ludziom normy współżycia. Zostały one bowiem wypracowane przez masy, podczas ich wielowiekowych zmagani z niehumanitarnym i amoralnym systemem ucisku. /6/

Opisany powyżej stan ducha wielu obywateli ZSSR trafnie charakteryzuje łopski pisarz Astafiew w opowiadaniu "Ślepy grzesznik" (1968):

Co się z nami stało? Kto wydał nas na pastwę zła i zatracenia? Dlaczego? Kto zgasił światło Dobra w naszych sercach? Kto zdmuchnął świecę naszego sumienia, wrzucając nas w otchłań nieprzeniknionej ciemności, gdzie po omacku szukamy drogi i wciąż podążamy w kierunku dna, oczekując pomocy, czekając na błysk ukazujący przyszłość. Czy może być dobrym światło wiodące do Gehenny płomieni? Zwykliśmy żyć z duszą pełną jasności. Rozpalona w naszych sercach przez świętych, pomagała abyśmy wśród ciemności nie zderzali się z drzewami w lesie bądź ludźmi na ulicy. Abyśmy nie musieli walczyć z sąsiadami. Dlaczego zabrano nam to wszystko i, prócz obezwładniającej niewiary, nie dano nic w zamian...? Do kogoż możemy się modlić? Od kogoż uzyskamy przebaczenie?

Otrzymawszy taki materiał, żaden ideolog nie może myśleć o odpoczynku. Nie ma więc mowy o zaniedbaniu ideologicznej czujności, nawet gdy Kościół prawosławny jest doskonale posłuszny:

Polityczny lojalizm kościoła, jego orientacja na kluczowe problemy współczesnego świata, mogą być połączone z pewnym umocnieniem jego pozycji ideologicznej w społeczeństwie. Oto dlaczego wzmocnienie ateistycznej propagandy wśród wszystkich warstw naszego społeczeństwa, a zwłaszcza wśród młodych, jest niezbędne. /7/

Ta realistyczna wizja faktycznego stanu rzeczy wyjaśnia, dlaczego radzi się ideologom i propagandzistom zachowywać z "taktiem i otwartością" podczas ateistycznego edukowania ludzi. Jasne staje się również, dlaczego "Literaturna Gazeta" potępia "antyreligijną demagogię", którą każdy obywatel dogłębnie już poznał. /8/ Łatwo dostrzec, jak idealnym miejscem dla ideologicznego oddziaływania jest wojsko. Dlatego też nie można na tym polu lekceważyć żadnego drobiazgu:

Przywódcy, propagandyści, aktywiści partii i komsomołu prowadzą antyreligijną działalność nie tylko w jednostkach wojskowych, lecz i wśród lokalnej ludności i tych, którzy wspólnie z żołnierzami pracują... Nie możemy nie dostrzegać faktu, że są pomiędzy nimi i ludzie wierzący starający się upowszechnić swój światopogląd. /9/

Napotykamy tutaj, podobnie jak i w innych sferach działalności, na żalostny brak gorliwości:

Niestety nie każdy był wystarczająco gorliwy, przewidujący i cierpliwy w redukcji wierzących... Niektórzy aktywiści unikali spotkań z wierzącymi, ponieważ nie wiedzieli jak należy zachować się w stosunku do żołnierza wykazującego religijne skłonności. Są oni po prostu ignorantami

jeśli chodzi o znajomość elementarnych podstaw jego wiary... Jednakże mimo tych problemów w większości wojskowych kolektywów zostało podjęte twórcze dzieło ateistycznej propagandy. /10/

Warto zwrócić uwagę, że w wojskowej prasie za głównych wrogów uważa się islam, sekty protestanckie (baptyści, adwentyści) i Kościół unicki.

Zmiana w antyreligijnej argumentacji polega na orlentowaniu jej na historyczny i kulturalny relatywizm. Czytamy w gazetach, że swego czasu chrześcijaństwo było postępowe. Kościół prawosławny nie jest już przedstawiany jako bastion zacofania, podkreśla się jego wpływ na literaturę i sztukę, wspomina się również wkład Kościoła w sprawę jedności narodowej ("Kościół inspirował zmagania przeciw najeźdźcom") i wkład w moralność narodu. Próbuje się zrobić z wiary to, co kiedyś zrobiono z narodowymi uczuciami - sprowadzić ją na poziom folkloru. To "oświecone" podejście jest tym bardziej wiarygodne, że napotyka na opór i ataki tak ze strony ideologicznych dinozaurów, którzy zdecydowanie przeciwni są wszelkim "flirtom" z Bogiem /13/, jak i ze strony tych, którzy dbają o to, aby narodowy składnik w ideologicznej dawce nie przekroczył przepisanego poziomu.

I tak na przykład teoretyk A. Jakowlew twierdzi: "Oddajcie Bogu, co Boskie. Kościołowi co należy do Kościoła; a marksizmowi pełnię prawdy. Należy koniecznie odciąć się od tych, którzy starają się przedstawić chrześcijaństwo jako wzorzec rosyjskiej kultury". /14/

Te subtelności nie wykluczają stosowania brutalnych metod. W 1987 roku miało miejsce wiele jadowitych ataków prasowych na niektóre sekty. Niezarejestrowani baptyści, adwentyści, zielonoświątkowcy, świadkowie Jehowy i wyznawcy Hare Kriszna są wciąż uważani za wrogów. Nienawiść władz do nich jest tym większa, że tworzą oni środowiska trudne do infiltracji przez KGB. Nie dają się również manipulować i używać do celów politycznych. Represje przeciwko unitom nie zmalały ani odrobinę. Kościoły katolickie nachodzone są przez milicję lub wręcz przekazywane we władanie Kościołowi prawosławnemu, jak na przykład w styczniu 1987 w Kaliniwce. Pewien katolicki ksiądz na Ukrainie został siłą wysłany do Czarnobyla, podczas gdy rząd wzmocnił ateistyczną ofensywę w rejonie Zachodniej Ukrainy. Mimo licznych petycji ukraińskich katolików, unicy nadal nie mogą doczekać się legalizacji swojego Kościoła.

Władze szczególnie wrogo nastawione są do wszelkich oddolnych prób opozycji wobec oficjalnych kościołów. Na przykład na Litwie prasa zaciekle atakowała grupę "Odrodzenie i Odnowa", która ujawniła komunistyczną manipulację jakiejś poddany był E-wangelicki Kościół Luterański.

Mimo obietnic K. Karczewa, sekretarza stanu do spraw religii, który przed listopadem 1987 ogłosił wolność dla wszystkich wierzących, co najmniej 100 osób przebywa nadal w więzieniach, obozach pracy lub w szpitalach psychiatrycznych z powodów religijnych. Do nich doliczyć musimy wszystkich odmawiających służby wojskowej z pobudek religijnych, których liczba jest nieznaną. Warto zauważyć również, że na czarnym rynku Biblia kosztuje 100 rubli, podczas gdy "Słownik ateizmu" - oficjalnie - tylko 2 ruble 70 kopiejek. /18/

Jednocześnie "pierestrojka" wymaga, aby hierarchia kościelna napiętnowała wszelkie ruchy dysydenckie wewnątrz Kościo-

ła. Podczas sympozjum w grudniu 1986 roku, reprezentanci oficjalnych Kościołów skrytykowali "istnienie kręgów dysydenckich w kraju" i podkreślili fakt, że "Kościoty posiadają duchowe środki, które mogą je zlikwidować". Poszczególne Kościoły zachęcane są do śledzenia i ścigania swoich własnych dysydentów, którzy "przez wzywianie do religijnej czystości, uciekają od duchowej rzeczywistości i niszczą, tym samym, więzi, które powinny ich jeszcze mocniej spajać z ich Kościołami". /19/ Jak powiedział Metropolita Juvenal "to, że mówi się o pierestrojce i głośności nie może oznaczać anarchii w Kościołach". Tak więc pod koniec marca 1988 roku, na krótko przed wizytą na Kremlu, biskupi Kościoła prawosławnego, zebrani w Moskwie, ostro potępili ruchy dysydenckie w Kościołach. /20/

Skąd więc ta zmiana w stosunku do religii i Kościołów, jeśli nie towarzyszy jej analogiczna zmiana w stosunku do wierzących? Kilka spostrzeżeń, dotyczących wewnętrznej i zewnętrznej polityki, tłumaczy gorbaczowowską wojnę "na umizgi". Jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne, partia nie ma nic przeciwko angażowaniu Kościołów w odbudowę moralności społecznej - zwłaszcza, gdy chodzi o walkę z alkoholizmem i sprawę regulacji poczęć. Oficjalne Kościoły mogą być również przydatne w rozwoju "przyjaźni między narodami". I tak, na przykład Armeński Kościół Katolicki chwalony jest w "Izwiestiach" z października 1985 roku, za jego uznanie dla "humanizmu Rosjan". Ta "internacjonalistyczna" postawa lokalnych Kościołów jest szczególnie mile widziana, gdyż "nie można nie zauważyć, że nacjonalistyczne sentymenty są powiązane z poglądami religijnymi". /21/ Tak jak w 1941 roku, tak i teraz partia przypomniawszy sobie o Kościołach w sytuacji kryzysowej: po Czernobylu "Literaturnaja Gazeta" otworzyła swoje kolumny dla Metropolity Filareta, który podjął się wyjaśnić ogarniętej paniką ludności, że katastrofa nie powinna być rozważana w kategoriach Apokalipsy i że koniec świata nie nadchodzi. /22/

Ostatnie zaproszenie prawosławnej hierarchii na Kreml jest oznaką sytuacji w ZSSR. Reżim moskiewski zwraca się do Kościoła prawosławnego w taki sam sposób i z tych samych powodów, dla których dokonuje dyskretnych odwołań się do wielkorosyjskiego nacjonalizmu. Flirt z prawosławiem nie oznacza chęci integracji z Europą (jak sugeruje propaganda przeznaczona na użytek zewnętrzny), lecz przeciwnie, negację zachodnich wpływów. Z okazji 1100 rocznicy śmierci świętego Metodego "Literaturnaja Gazeta" wspomina o prowadzonym przez Kościół katolicki procesie beatyfikacyjnym Cyryla i Metodego i cytuje słowa Metropolity Pankracego: "Koncepcja 'zjednoczonej Europy' w rozumieniu Zachodu jest dla nas nie do przyjęcia... Jesteśmy za Europą w duchu Helsinek, Europą opartą na współistnieniu różnych systemów politycznych". /23/

Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, to ZSSR ma poważne powody ku temu, aby angażować się na froncie religijnym. Sowietci zawsze czynili spore starania, aby manipulować światową opinią. Dziś, gdy Sowietci i ich państwa satelitarne zależą od zachodniej pomocy bardziej niż kiedykolwiek, w chwili, kiedy ruina ekonomiczna zmusza ich do rozbrajania Zachodu, a nie do wygrywania wyścigu zbrojeń, kiedy tradycyjne kanały sowieckich oddziaływań, jakimi były światowe partie komunistyczne, zostały skompromitowane, a ich powiązania z Moskwą ujawnione, stało



się rzeczą pilną odnowić techniki tegoż oddziaływania i odzyskać grunt, który stracono za Breżniewa. Gesty w kierunku wierzących są drogą do osiągnięcia dwóch politycznych celów - tradycyjnego i drugiego, nowego - mają odzwierciedlać zmiany zachodzące pod wpływem "Nowego Myślenia" ery Gorbaczowa.

Pierwszy z nich, to jak największe zróżnicowanie metod wpływu na światową opinię. Niezliczone fundacje, organizacje i instytucje rosną jak grzyby po deszczu. Cel ich istnienia jest jeden: zgodnie z wytyczoną przez partię linią; propagować pokój i rozbrojenie. Ważne jest, aby hierarchia Kościoła brała w tych ruchach czynny udział. Tak więc Metropolita Pitrim jest odpowiedzialny za Międzynarodową Fundację d/s Przetrwania i Rozwoju Ludzkości, powstałą w styczniu tego roku w Moskwie. Metropolita Filaret jest prezydentem Komisji d/s Współpracy z Kościelnymi Bojownikami o Pokój. Matka Teresa została przyjęta przez G. Borowika odpowiedzialnego za Sowiecki Komitet Pokoju. "Mamy przed sobą istotny cel" - mówi Patriarcha Pimen - "musimy skoncentrować nasze wysiłki, aby uwolnić ziemię i niebo od broni nuklearnej". /24/

Drugi cel związany jest z chęcią zmiany obrazu ZSSR, jaki utrwalił się w świadomości Zachodu i obalenie "stereotypu wroga". Według publicysty "Literaturnoj Gazety" /25/ negatywny obraz ZSSR jest oparty na trzech punktach: ZSSR jest uważane za państwo ekspansionistyczne, ateistyczne i totalitarne. Oczywiście sowiecka propaganda stara się negować te trzy przymiotniki. W USA i RFN stało się potrzebne przede wszystkim obalenie poglądu o ateistycznym charakterze państwa sowieckiego. W serii wywiadów dla mediów amerykańskich Gorbaczow nie unikał słowa Bóg. Na waszyngtoński szczyt przybył w towarzystwie Metropolity Filareta. W sierpniu 1987 roku, podczas konferencji w Chautauqua poświeconej stosunkom USA-ZSSR Metropolita Juvenal i Rabbi Adolf Czajewicz bronili pierestrojki i głośności, jak również przekonywali wszystkich, że w ZSSR wierzących nie spotykają żadne szykany. Podobne tezy wygłaszali w RFN przedstawiciele sowieckiego Zboru Ewangelików-Baptystów. /26/ Całkiem niedawno, na Światowej Konferencji Hinduizmu Lama Chimit-Dorji Bougarow mówił, że buddyzm w sowieckiej Buriacji kwitnie. /27/ Tysiącie chrześcijaństwa w Rosji stwarza kolejną dobrą okazję do organizowania konferencji i sympozjów, zarówno w ZSSR, jak i za granicą, na których przede wszystkim wychwala się "pierestrojkę" i "głośność". Przykładem może być kolokwium zorganizowane przez Akademię Ewangeliczną w Tutzing w Bawarii. /28/

Tak więc gesty w kierunku Kościoła nie świadczą o zmianie stosunku reżimu do religii. Reanimacja oficjalnych Kościołów, rozgłos propagandowy na temat ich tzw. "niezależności" od państwa, wskazują tylko na ożywienie KGB - tak w kraju, jak i za granicą. W czasach kryzysu partia zmuszona jest do zwiększania manipulacji społeczeństwem i jego opiniami. Ludzie Kościoła są jej potrzebni tak samo jak naukowcy i inni "przedstawiciele inteligencji". Możliwe, że oficjalne Kościoły otrzymają zezwolenie na działalność charytatywną. Przykład Polski pokazuje, że tworzy się wtedy istotny kanał niezależnej pomocy z Zachodu, która pozostawia jednak bardzo ślaby ślad w sferze ideologicznej. Lecz zmiany prawne nic nie dadzą tak długo, jak długo będą możliwe wypadki opisane w liście rosyjskiego wierzącego do Ojca Jakunina, ostatnio opublikowanym w samizdatowym perio-

dyku "Głasnost":

Wysyłał Ojciec ostatnio listy do władz, prosząc je o zmianę praw dotyczących religii. Czy Ojciec wierzy, że znowelizowanie prawa coś zmieni, kiedy to prawo nie jest respektowane? Główne naciski na Kościół pochodzą od KGB, a jakież prawa rządzą tą organizacją?... KGB ma na celu zwerbowanie wszystkich, którzy wstępują do seminarium. ...Nie rozumiem, jak można mówić o wolności Kościoła, jeśli jutro wszyscy księża będą sprzedawczykami? Cóż jest dobrego w takim "wolnym" Kościele? Podstawową chorobą trawiącą nasz Kościół jest fakt, że hierarchia została kupiona. Pierwotnie tyczyło się to tylko wyższych duchownych. Dzięki po dniu rozprzestrzenia się na cały Kościół - od szczytu do dołów... I tylko super-Judasze mogą kontaktować się z zagranicą. Skończyć z grzechem Judaszowym wśród kleru - to jest podstawowe żądanie, które ludzie tacy jak ty powinni wysuwać pod adresem władz.

A zapytany o obecny stosunek sowieckiego reżimu do Kościoła młody dysydencki prawosławny ksiądz Władimir Czibajew, odpowiada:

Intencją jest zniszczenie Kościoła. Zniszczyć doszczętnie i po prostu. Zmieniły się formy: dawniej stosowano głównie terror, teraz działa się od wewnątrz... Jest to w sumie bardziej groźne. Tak więc dziś bronią ateistów jest: robić wszystko od wewnątrz. /29/

Jeżeli więc chcemy osądzać "pierestrojkę" pod kątem polityki religijnej, to powyższe spostrzeżenie ojca Czibajewa musi nam dać sporo do myślenia.

- /1/ - V.P.Henck, "La politique religieuse de Gorbathev" Est/Ouest no. 51
- /2/ - Prawda, 7 grudnia 1987
- /3/ - La Croix, styczeń 1988
- /4/ - Literaturnaja Gazeta, 15 października 1986
- /5/ - Prawda, 2 lutego 1988
- /6/ - Prawda, 28 stycznia 1988
- /7/ - 2 lutego 1988
- /8/ - Literaturnaja Gazeta, 19 listopada 1986
- /9/ - Bulletin of the Armed Forces, no. 2, pp. 59-61, 1988
- /10/ - ibidem
- /11/ - Literaturnaja Gazeta, 12 czerwca 1985
- /12/ - Literaturnaja Gazeta, 9 września 1987
- /13/ - Komsomolskaja Prawda, 30 lipca 1987
- /14/ - Bulletin of Academy of Science, nr 6, 1987
- /15/ - Service de Presse ukrainien, nr 3, marzec 1988
- /16/ - Service de Presse Ukrainien, styczeń 1988
- /17/ - Possey, nr 12, 1987
- /18/ - Russkaja Mysl, 22 stycznia 1988
- /19/ - La Croix, 15 stycznia 1987
- /20/ - Radio Liberty Research Bulletin, 6 kwietnia 1987
- /21/ - Prawda, 8 kwietnia 1987
- /22/ - Literaturnaja Gazeta, 25 lipca 1986
- /23/ - Literaturnaja Gazeta, 29 lipca 1985

- /24/ - Prawda, 2 lutego 1988  
 /25/ - Literaturnaja Gazeta, 28 października 1987  
 /26/ - Radio Liberty Research Bulletin, 8 lutego 1988  
 /27/ - Radio Liberty Research Bulletin, 6 kwietnia 1988  
 /28/ - L'Est europeen, No. 209, styczeń/marzec 1988  
 /29/ - Russkaja Mysl, 29 kwietnia 1988

## SPIS TREŚCI

Michael Ledeen "Nowe szaty Gorbaczowa" .....	3
Lee Braddock "Afganistan nie jest sowieckim Wietnamem" .....	8
Humberto Belli "Stan wojenny jako model życia w Ameryce Środkowej" .....	23
Enrique Bermudez "Kuznia doliny kontras" .....	28
Ambrose Evans-Pritchard "Contras - utracona szansa na zwycięstwo" .....	38
Michael Johns "Holocaust Gorbaczowa. Rola Sowietów w głodzeniu Etiopii" .....	53
David Roberts, Jr. "ANC w opinii własnej" .....	56
François Thom "Gorbaczowska polityka religijna" .....	68

**WYDAWNICTWO** **BAZA**  
**WARSZAWA**  
**CENA 1000 ZŁ**

